

Wikipedia
jest kobietą.
Jej hasła już nie

Nowicka: Trzeba
przewietrzyć
ten Sejm

Czarownice
czas
zrehabilitować

Fenomenalny
ferment
Femenek

PRZE KROJ

NR 16 (3479) / 5 MARCA 2012 / CENA 3,99 ZŁ

WWW.PRZEKROJ.PL

w tym 8% VAT

8 MARCA

Kobiety, wkurzmy się!



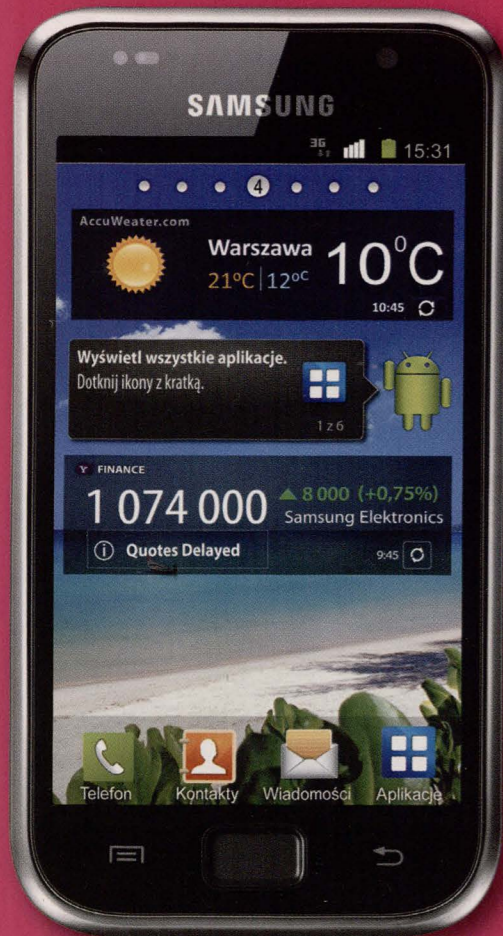
Manify w całej
Polsce 11 marca

DEKS
71424

ISSN 0033-2488

10 >

Ekskluzywne smartfony w niskich abonamentach



Samsung Galaxy S Plus

1 zł na start

69,90 zł miesięcznie

Biegnij przenieść swój numer do T-Mobile.

Przenieś numer do T-Mobile i wybieraj wśród wielu ekskluzywnych smartfonów w najlepszych cenach i niskich abonamentach. Już teraz nowoczesny Samsung Galaxy S Plus za złotówkę na start w miesięcznej opłacie za jedyne 69,90 zł.

Chwile, które łączą.



Oferta dostępna dla Klientów przenoszących numer z oferty abonamentowej innego operatora. 1 zł to opłata za telefon na start. Opłaty miesięczne, w zależności od oferty, zawierają: abonament za usługę albo abonament wraz z ratą za telefon. Szczegóły na www.t-mobile.pl



PRZEKROJ

Założony w roku 1945 w Krakowie redaktor Marian Eile

„Przekrój” w sieci OLAF SZEWczyk

- Czy wszetecznie mieszczański, by nie rzec: kulturowo i społecznie zapyziały, charakter naszego stada nie wymaga aby, moja duszko, reform radykalnie rewolucyjnych? - zagał znieacka do Stasi Brontozaurki kolega małżonek, niepewnie wychylając okulary znad studiowanego czasopisma. - Czy małżeństwo, ów hegemonicznie dominujący model organizacji życia intymnego i seksualnego, nie krępuje, myszko, twej... Płańnięcie mokrą ścierką przez łeb czy raczej płańnięcie owych seria - szybka jak staccato kaemu - nie pozwoliła nieszczęśnikowi dokończyć nader pochopnie poruszonej kwestii. Kolega małżonek wiedział, kiedy położyć po sobie uszy. Staśka miała wprawę w dyscyplinowaniu swego oblubieńca. Tu dzież w postugiwaniu się ścierką. Na przeprosiny pomóc mogło tylko jedno. Wyśpiewanie na kolanach strof Piosnki nad Piosnkami:

O, jaka piękna jesteś ma cud-brontozaurczyco, jak cudną łuską błyszczą nadobne twe lico. Ślepią jak menisk wypukłym w gamcach z miodem złocistym miriady w nich ogników lśnią blaskiem nierzeczywistym. Łapy twe jak kolumny w pałacu faraona lub dęby Bartek cztery koroną ich - ma żona. Szyja smukła i prężna jako ten szparąg zielony, nie ma na świecie drugiej jak moja Stasia zony!

Niczym niedzielny ranek wiosną w gaju oliwnym lubo piątkowy wieczór latem w ogródku piwnym. Jak słodka woń szarlotki i krówki zżerane skrycie cieszy mię moja Stasiu mieszczańskie nasze pożycie!

Więcej o Staśce na Twitterze, FB, G+, www.przekroj.pl, w tabelowych edycjach „Przekroju”.



Listy ślij tu: redakcja@przekroj.pl

W TYM TYGODNIU

NIE PISZEMY O TYM...

... że minęła właśnie rocznica śmierci Jolanty Brzeskiej, działaczki ruchu lokatorskiego w Warszawie, a prokuraturze nie udało się nawet przesłuchać osoby, która miała z nią realny konflikt i interes w tym, żeby jej nie przeszkadzała swoim istnieniem.

... że w Indiach strajkowało 100 mln pracowników i pracowniczek. Bo te Indie są tak daleko, a te 100 mln takie nierealne, niekonkretne, rozmyte, nierzeczywiste.

... że do premiera Tuska nie dotarło, dlaczego należałoby uszanować bezprecedensową deklarację ministry Joanny Muchy, że chce być nazywana ministram, a nie ministrem.

... o rewelacyjnych poradach Krzysztofa Ibisza dla Ryszarda Kalisza na temat lewiatywy.

... że jest już znany testament Wisławy Szymborskiej.

... o ofercie solnej, czyli dosypywaniu do kiełbas i innych produktów spożywczych soli do posypywania dróg. Po pierwsze cieszy, że policja zabezpieczyła już 500 ton soli. I teraz ją zbada. Poza tym dziennikarz tvn pracował nad sprawą solną pół roku. Za długo.

... że prezydent przegrał sprawę w Naczelnym Sądzie Administracyjnym o odmowę udostępnienia opinii prawników ws. oFe. Szczególnie na przytoczenie nie zastępuje wypowiedź sądu uzasadniająca orzeczenie: „Słuchając wywodów

pana mecenasa, miałam wrażenie, że pomyłono władzę prezydencką z władzą królewską, która pochodziła od Boga i nie podlegała żadnej kontroli”. Monarchia wraca tylnymi drzwiami...

... że na Stadionie Narodowym odbył się podobno jakiś mecz piłki nożnej. Trudno, co robić.

... o tym, że Google wprowadził od 1 marca nową politykę prywatności, która jest polityką wszechobylskiej dociekliwości i rozprzestrzeniania danych o nas. Nie piszemy, bo nas wygooglują.

... że poznański sąd nakazał restauratorce przeproszenie Romów, których nie wpuszczała do swojego lokalu. Bo niekonstytucyjnie nie wpuszczała.

MAREK RACzkowski



LAST MINUTE KRZYSZTOF PLYTA

Pracodawcy na Dzień Kobiet: Niech żyją panie! (za pensje znacznie niższe od panów).

MARK RACZKOWSKI



PRZED WSZYSTKIM

- 6 **Chcę Sejmu przyjaznego kobietom, zwłaszcza wykluczonym i zmarginalizowanym** – mówi „Przekroju” Wanda Nowicka. – Ja bym chciała ten Sejm trochę przewietrzyć, żeby tu się coś działo między posiedzeniami. Żeby to nie był skostniały gmach
- 10 **Kolażówka Sylwii Chutnickiej**
- 11 **Kobiety na ulice, ulice kobietom!** 11 marca manifujemy w Gdyni, Łodzi, Szczecinie, Krakowie, Warszawie i we Wrocławiu – zaprasza Julia Kubisa
- 12 **Nasze piersi nie gryzą** – krzyczą ukraińskie feministki w fotoreportażu Justyny Mielnikiewicz
- 18 **Po pierwsze: nie gwałć!** Doświadczenie gwałtu wciąż jest w Polsce powodem do wstydu. Kobiety, które chcą mówić o swoich doświadczeniach, zamyka się usta i wciąż obarcza się je winą za to, co się stało. Nowy dekalog przedstawia Aleksandra Bilewicz
- 20 **Po drugiej stronie lustra.** Felieton Anny Grodzkiej
- 22 **Niemiecką kłótnię o rehabilitację tysięcy kobiet i dziewczynek spalonych na stosach za rzekome czary** relacjonuje Stanisław Rajewski
- 24 **Włoszki budzą się po Berlusconi** – zapewnia Miłada Jędrzyk. Mają dość bycia uległymi seksbombami, więc walą w bębny i chcą feminizować nazwy ulic
- 26 **Wrocławską Manifa o sobie, pieniądzach i władzy.** Bo miasto jest dla mieszkańców, a nie dla wąskiej grupki polityków i biznesmenów
- 28 **Zielonym okiem.** Hanna Gill-Piątek
- 29 **Czarny piątek.** Felieton Tomasza Piątka
- 30 **Stefania Wilczyńska wychodzi z cienia Korczaka** w tekście Magdaleny Kicińskiej

CYWILIZACJA OD ŚRODKA

- 32 **Wikileaksizm zatrzuwa umysły, rugując z opisu świata to, co kobiece** – ostrzega Anna Dryjańska
- 34 **Dziewczyny na Politechniki** – zaprasza Bianka Siwińska
- 35 **Napród!** Felieton Adama Ostolskiego

KONIEC Z KULTURĄ

- 36 **Heretyczka, zbokolka, wariatka** – z epitetów pod swoim adresem Sinéad O’Connor czerpie siłę do życia i do nowej, świetnej płyty – przekonuje Maciej Jarkowiec
- 40 **Historia Weroniki Szczawińskiej jest historią sukcesu, dobra i mądrości.** Siły przebicia i mozolnej konsekwencji „kobiety trzydziestoletniej” w teatrze
- 42 **O kobietach z książek Pamuka** pisze Łukasz Wójcik. Są obiektami kultu i adoracji, a jednocześnie śmiertelnymi ofiarami

RECENZJE I ZAPOWIEDZI

- 44 **Film:** Majmurek o „Anatolii”, Kałużyński o „Fauście”
- 45 **Muzyka:** Mouse on Mars pomaga nadrobić zaległość
- 46 **Książki:** Orwell zawsze ma rację – twierdzi Kępiński
- 48 **Komiks:** Tomczuk czyta „Parentezę” o wychodzeniu z choroby

ZAWSZE W PRZEKROJU

- 49 – 50 **Rozmaitości z krzyżówką i Lewomyślnie Kurkiewicz**
- 3, 4, 49 **Raczkowski**

PRZEKROJ

ADRES REDAKCJI: ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa, faks: 22 628 05 88, 22 463 00 00; automatyczna centrala telefoniczna: 22 4630 + numer wewnętrzny; łączenie przez telefonistkę 22 628 34 01 do 09, www.przekroj.pl, e-mail: redakcja@przekroj.pl lub imie.nazwisko@przekroj.pl
 REDAGUJE ZESPÓŁ: Roman Kurkiewicz (redaktor naczelny), Maria Świątek, Weronika Kostyriko, Aleksandra Bilewicz, Katarzyna Czarnaćka
 PRZED WSZYSTKIM: wydarzenia@przekroj.pl, Łukasz Wójcik, Agnieszka Fiedorowicz, Joanna Woźniczko-Czczott
 CYWILIZACJA OD ŚRODKA: nauka@przekroj.pl, Olaf Szweczyk; stale współpracuje Paweł Franczak
 KONIEC Z KULTURĄ: kultura@przekroj.pl, Jacek Tomczuk; stale współpracują Jacek Wakar, Marcin Sendecki, Karolina Pasternak, Łukasz Drewniak, Sebastian Frackiewicz, Anna Jastrzębska, Ola Salwa, Jacek Sieradzki, Bartek Winczewski, Anna Gromnicka
 ROZMAITOŚCI, KRZYŻÓWKA: rozrywka@przekroj.pl, Marcin Pieszczyk; stale współpracuje Kaliber 45
 PRACOWNIA GRAFICZNA: Andrzej Figatowski
 FOTOREDUCJA: foto@przekroj.pl, KOREKTA: Ling Brett
 PROJEKT GRAFICZNY: Kasper Skirgajło-Krajewski
 ARCHIWUM: Dominika Bok
 OBRÓBKA ZDJĘĆ, PRZYGOTOWANIE DO DRUKU: Bogumiła Kreczmańska, Wanda Wójcik, Tomasz Kieras, Tomasz Rojek
 STRONA INTERNETOWA I IPAD: Marcin Cichoński, Renata Wróbel

PRENUMERATA TYGODNIKA „PRZEKROJ”
PRENUMERATA REDAKCYJNA
 Cena prenumeraty 2012 r.: roczna: **165,40 zł**, półroczna: **83,20 zł**, kwartalna: **41,60 zł**
 Zamówienie na prenumeratę należy składać: e-mailem: prenumerata@przekroj.pl lub faxem: 22 621 22 61. Dodatkowe informacje pod nr. tel. 800 120 195
PRENUMERATA KOLPORTERSKA
 oddziały Ruch SA, www.prenumerata.ruch.com.pl, urzędy pocztowe
PRENUMERATA e-WYDANIA
 www.egazety.pl
PRENUMERATA ZAGRANICZNA
 Ruch SA www.ruch.pol.pl; 22 693 67 75, 22 693 67 82, 22 693 67 18

DOSTĘP NA STRONĘ WWW I WERSJĘ NA IPADA
 Cena abonamentu na iPada w Internecie: tygodniowy – **3,69 zł**, kwartalny – **30,75 zł**; roczny (z rabatem 30 proc.) – **99 zł**. Do wykupienia na www.przekroj.pl oraz w App Store.
 Informacje: wsparcie@przekroj.pl

GREMI GRUPA

WYDAWCA: PRESSPUBLICA SP. Z O.O. ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa
 PROMOCJA I MARKETING: promocja@przekroj.pl, Jakub Maszkowski, Milena Ostólska
 BIURO REKLAMY: Presspublica Sp. z o.o. ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa faks: 22 628 05 88, 22 463 00 00; automatyczna centrala telefoniczna: 22 4630 + numer wewnętrzny; łączenie przez telefonistkę 22 628 34 01 do 09
 KIEROWNIK ZESPOŁU SPRZEDAŻY: Filip Weichert – 22 463 01 88 reklama@presspublica.pl druk: RR Donnelley

Samsung SMART TV

SAMSUNG



Wrzuć emocje na wyższy bieg

KUP telewizor Samsung Smart TV 46" lub większy
 ODBIERZ kupon na kurs doskonalenia jazdy w ekstremalnie trudnych warunkach drogowych
 WYGRAJ Toyotę Land Cruiser 3,0 D-4D



Więcej informacji i szczegółowy regulamin akcji na www.akademiajazdy.samsung.pl



Trudno być kobietą w polityce?

Ponieważ pełnię wysoki urząd, nie czuję się na co dzień dyskryminowana z powodu płci. Ale mam wrażenie, że wielu posłankom się wydaje, iż lepiej być posłem. Że karierę w polityce łatwiej im będzie zrobić, jeżeli odetną się od feminizmu. Bo dzięki temu bardziej się będą podobały kolegom, więcej zyskają jako „grzeczne dziewczynki”.

Czuła pani w ostatnich tygodniach solidarność z ministrami?

Tak, i mówiłam o tym publicznie. Z pobudek seksistowskich cała polityczna i medialna para poszła w udowadnianie, jaka ona jest niekompetentna. A fakt, że ministrem sprawiedliwości pierwszy raz nie został prawnik, nikomu nie przeszkadza. Wręcz przeciwnie, uznano to za atut.

Kobietom w polityce nie jest łatwo i dopóki nie będzie nas więcej, dopóki nie stworzymy masy krytycznej, pionierki na wysokich stanowiskach muszą spodziewać się ataków spotęgowanych przez czynnik płci. Moje początki w Sejmie też nie były łatwe.

Jakie ważne dla kobiet sprawy chce pani załatwić w tej kadencji Sejmu?

Przed wyborami zobowiązałam się złożyć projekty dwóch ustaw. Pierwszą obietnicę spełniłam już w listopadzie – to projekt ustawy o in vitro. Drugi projekt dotyczący świadomego rodzicielstwa złożyliśmy do łaski marszałkowskiej w połowie stycznia. W pracę nad tymi dwoma projektami byłam zaangażowana od wielu lat.

Na początku kadencji widziałam duże szanse na to, że ustawa o in vitro może zostać przyjęta, i nadal chcę w to wierzyć. Nie trafiła do sejmowej zamrażarki, jest konsultowana przez różne ciała i instytucje. Jednak moim zdaniem to już trwa za długo. Na tyle długo, żeby dostrzec strategię opóźnienia przynajmniej do czasu, aż PO złoży swój projekt. Miał być w lutym, teraz słyszymy, że może pojawi się w marcu.

Widzi pani możliwość uzgodnienia z po kompromisowej ustawie o in vitro?

Jeżeli PO przedstawi projekt zbliżony do liberalnej propozycji Małgorzaty Kidawy-Błońskiej z poprzedniej kadencji, to tak. Może być jednak tak, że Platforma się policzyła i wyszło jej, iż w tej kadencji trudno będzie o większość dla projektu liberalnego. Posłowie PO nie mogą się teraz wycofać ani przegrać głosowania, bo obiecali ustawę wyborcom podczas kampanii wyborczej

i dlatego blokują pracę nad projektem.

Gdzie jest granica dopuszczanego przez panią kompromisu w sprawie in vitro?

Na pewno nie będzie zgody na zakaz mrożenia zarodków. Decyzję o liczbie wszczepianych zarodków musi podejmować lekarz wraz z pacjentką, kierując się stanem jej zdrowia i najnowszą wiedzą medyczną.

Nie wyobrażam sobie także, żeby można było ograniczyć diagnostykę preimplantacyjną.

Nie wolno dopuścić do sytuacji, by Polki i Polacy byli pozbawieni możliwości korzystania z osiągnięć współczesnej medycyny. W sprawie in vitro brak ustawy jest lepszy niż zła ustawa, która nakłada ideologiczne ograniczenia.

A ustawa o świadomym rodzicielstwie?

Nie jestem i nigdy nie byłam optymistką, jeśli chodzi o szanse na jej przyjęcie w tym Sejmie. Uważam jednak, że temat aborcji powinien być obecny podczas

Krytyczna masa kobiet

Chce Sejmu przyjaznego kobietom, zwłaszcza wykluczonym i zmarginalizowanym – mówi „Przekrojowi”

WANDA NOWICKA



Stanisław Kowalczyk/EAST NEWS

Bardzo mi zależy na tym, żeby kwestie kobiece były trwale obecne w debacie publicznej. Dlatego zainicjowałam program „Sejm przyjazny kobietom”. Jest to cykl comiesięcznych debat z różnymi środowiskami kobiecymi, zwłaszcza wykluczonymi i zmarginalizowanymi, na temat ważnych dla nich problemów. Chciałabym, żeby podczas tych spotkań pojawiały się konkretne rekomendacje i projekty, żeby były artykułowane zdecydowanie głośniejsze niż do tej pory. Mam nadzieję, że z czasem Sejm przyjazny kobietom stanie się faktem.

W ubiegłym tygodniu odbyła się pierwsza debata o przedłużeniu wieku emerytalnego z przedstawicielkami związków zawodowych. Debata ósmomarcowa będzie poświęcona dwóm tematom: parytetom i polityce społecznej. Profesorki Eleonora Zielińska i Małgorzata Fuszara przygotowały nowy projekt ustawy parytetowej, przedstawiają go uczestniczkom naszej debaty. Będziemy dyskutować nie tylko o parytetach w polityce, ale w różnych instytucjach i zarządach firm. Będziemy się zastanawiać, jak efektywnie zmierzać do parytetów na każdym poziomie naszego życia politycznego i zawodowego.

Polska jest gotowa na parytety w zarządach prywatnych firm?

A dlaczegoż by nie? Pytanie, czy można prywatne firmy do parytetu zmusić, czy wystarczy promowanie dobrych praktyk.

Dlaczego do debaty o wieku emerytalnym zaprosiła pani działaczki związków zawodowych?

W publicznej debacie wokół emerytur najmniej się mówi o sytuacji przeciętnej Polki, która ciężko haruje, często fizycznie, za marne grosze. Nie oglądamy ich w telewizji. Kobiety ze związków zawodowych najlepiej znają ich sytuację. A kobiety pracy nieuprzywilejowanej stanowią w Polsce większość. Zaprosiłam premiera, żeby ich wysłuchał.

Miała pani wrażenie, że Donald Tusk wyszedł z tego spotkania z innym nastawieniem, niż na nie przyszedł?

Chciałabym w to wierzyć. On słucha, co się mówi, jest dobrze przygotowany i do każdego środowiska mówi innym językiem. W rozmowie z Kongresem Kobiet o młodym pokoleniu wypowiadał się jako ojciec dorosłych dzieci, który zna problem umów śmieciowych od podszewki. Działaczkom związkowym opowiadał o swoim doświadczeniu pracy fizycznej. Umie znajdować argumenty.

Ale czy postulaty działaczek związkowych znajdą odbicie w ostatecznym projekcie? Co do tego mam wątpliwości. Choć momentami było hardcore'owo. Jedna z kobiet opowiadała, jak się kroi mięso w temperaturze pięciu stopni, a druga o pracy w supermarkecie, gdzie kasjerki przesuwają przez czytnik cztery tony dziennie.

Czy działaczki związkowe dały się przekonać argumentom premiera?

Przekonać się nie dały, ale widzą, że sprawa nie jest taka prosta, że z wiekiem emerytalnym rzeczywistość mamy problem. Że wyzwania demograficzne muszą mieć wpływ na politykę rządu – taka nieporozumienia się pojawiła. Ale w kwestiach zasadniczych strony pozostały przy swoim.

Czy ta debata wpłynęła na pani stanowisko w sprawie emerytur?

Rozumiem, że wiek emerytalny trzeba przesunąć. Trudno mi się jednak zgodzić na gołą ustawę, której istotą jest wyłącznie wydłużenie wieku emerytalnego. Rząd zaskoczył społeczeństwo projektem, w kampanii wyborczej w ogóle nie rozmawialiśmy na ten temat. Mieliśmy propagandę sukcesu, a teraz nagle stoimy na skraju przepaści. Wmawia się nam, że jeżeli zaraz nie przyjmijemy właśnie tego projektu, to czeka nas katastrofa.

Zanim jeszcze pojawił się rządowy projekt, powinna się

całej kadencji. Stąd wczesne zgłoszenie projektu ustawy o świadomym rodzicielstwie, żeby w razie jego odrzucenia w tej formie był czas na przedstawienie kolejnych projektów. Jak się nie da zrobić wszystkiego, zróbmy to, co się da.

Co w tym Sejmie da się zrobić dla zdrowia reprodukcyjnego Polek?

Ustawa o świadomym rodzicielstwie obejmuje aborcję, antykoncepcję i edukację seksualną. Nie wyobrażam sobie, żeby w Polsce XXI w. nie dało się poprawić

dostępności antykoncepcji i edukacji seksualnej.

A jeśli i tego się nie da zmienić?

Jestem świadoma ograniczeń wynikających z bycia w opozycji, zwłaszcza gdy chce się coś zmieniać. Realny wpływ opozycji polega na wywoływaniu debat, podejmowaniu tematów nabrzmiałych społecznie.

Nawet jeżeli najtrudniejszych spraw nie da się natychmiast załatwić, trzeba o nich mówić i tworzyć sprzyjające warunki do zmiany w przyszłości.

→ odbyć publiczna debata nad możliwymi kierunkami rozwiązań. Nie doprowadziłaby pewnie do powszechnej zgody, ale zniknęłoby poczucie, że z niewiadomych powodów narzuca nam się rozwiązanie drastycznie zmieniające sytuację społeczną.

Jakie reformy powinny pani zdaniem towarzyszyć wydłużeniu wieku emerytalnego?

Trzy filary tej zmiany to praca, zdrowie i opieka. Potrzebne są rządowe programy zwalczania bezrobocia ludzi młodych i tych, którzy przekroczyli pięćdziesiątkę, a także systemowe rozwiązanie problemu umów śmieciowych.

Sama jestem po pięćdziesiątce i wiem, że zdrowie ma ogromny wpływ na możliwość wykonywania pracy. Trzeba postawić na dobrą opiekę zdrowotną opartą na profilaktyce i umożliwić rzeczywisty dostęp do specjalistycznej opieki dla pracowników w wieku 50+.

Trzecia rzecz to opieka nad dziećmi, rozumiana jako inwestycja w przyszłość. Trudno mieć pretensje, że młodzi ludzie nie chcą się rozmnażać, kiedy państwo ma im tak mało do zaproponowania. Gdyby udało się nam tzw. miękkimi metodami poprawić dietę, potrzeba wydłużenia wieku emerytalnego nie byłaby tak drastyczna. Przecież Polki rodzą, ale w Anglii.

No i warto pomyśleć poważnie o sensownej polityce imigracyjnej. Ten wątek nie padał dotychczas w dyskusji o wieku emerytalnym, a szkoda. Kraje rozwinięte starają się rozwiązywać swoje problemy demograficzne także w ten sposób.

W poprzedniej kadencji myślenie systemowe i perspektywiczne promował w rządzie minister Michał Boni, który teraz skupił się na cyfryzacji. Czy ktoś z rządu jest w stanie zastąpić go w tej roli?

Przeciwnie. Dominują krótka perspektywa i brak wizji. Widzę to zwłaszcza u ministra finansów Jacka Rostowskiego, który

utrzymuje, że nie jesteśmy w stanie przewidzieć, co będzie za 20 lat. Ten rząd myśli o jednej kadencji.

Czy pani chciałaby podjąć inicjatywę ustawodawczą na rzecz większej dostępności żłobków i przedszkoli?

To jest nasz postulat, szczególnie rozwiązania powinien zaproponować rząd. Zmiany w polityce społecznej mają poważne konsekwencje budżetowe. To rząd ma odpowiednie instrumentarium, żeby wypracować tak trudne i skomplikowane projekty ustaw.

Sprawa aborcji jest łatwiejsza?

Łatwiejsza nie, ale lepiej rozpoznana. Wiemy doskonale, jak powinno wyglądać prawo w tym zakresie. Zajmuję się tym od 20 lat.

A może dałoby się zaszczepić w Sejmie gender budgeting, czyli takie myślenie o podziale środków budżetowych, które przeciwdziałają dyskryminacji i w większym stopniu uwzględnia cele ważne dla kobiet?

Gender budgeting to idea mi bliska. Potrzebna jest grupa ekspertów/-ek, którzy umieliby

analizować budżety pod kątem priorytetów kobiecych. Jeśli pojawiłyby się taka inicjatywa i konkretne pomysły, jestem otwarta na współpracę, choćby przy sztorocznym budżecie.

Może dyskusję o gender budgeting warto prowadzić na forum Parlamentarnej Grupy Kobiet?

Można ją podjąć, zwłaszcza że w Platformie Obywatelskiej jest sporo kobiet, które znają się na budżecie. W Parlamentarnej Grupie Kobiet tej kadencji nie było jeszcze dyskusji programowej, możemy z Anią Grodzką podzrzucić ten temat, także w kontekście reformy emerytur.

Odnajduje się pani w Ruchu Palikota ze swoimi poglądami na sprawy ekonomiczne i społeczne, jak np. parytet w zarządach prywatnych firm?

Ruch Palikota popiera każdy mój projekt. Nie jest to tradycyjna lewica, ale Janusz Palikot pytał mnie już dawno, kiedy będzie gotowy projekt parytetów w zarządach spółek. Z jego strony jest ogromna otwartość i wola wspierania każdej kwestii ważnej dla mnie jako feministki.

Ostatnio zainicjowałam Ruch Kobiet, czyli sekcję kobiecą w Ruchu Palikota, przy pełnym poparciu Janusza. Na pierwsze spotkanie zapraszam do Warszawy członkinie partii na 10 i 11 marca, na zakończenie którego udamy się na słynną warszawską Manifę.

Mówi się, że mężczyźni w polityce uzgadniają stanowiska nie na sali sejmowej, tylko przy piwie. Gdzie dogadują się kobiety?

Przy okazjach kulinarnych, niekoniecznie alkoholowych.

Współpracuje pani z pełnomocniczką rządu do spraw równego traktowania?

Ciągle się umawiamy, by pogadać. Chciałabym i będę współpracować ze wszystkimi środowiskami i wszystkimi instytucjami, które chcą działać na rzecz kobiet.

Czy doświadczenie Kongresu Kobiet, gdzie kobiety mobilizują się do wspólnego załatwiania swoich spraw ponad podziałami politycznymi, da się przenieść na grunt Sejmu? Może warto w konkretnych sprawach współpracować z posłankami prawnicy?

Kongres jest bardzo opiniotwórczy i ma istotny wpływ na rządzących. Zasadnicza różnica między Kongresem a Parlamentarną Grupą Kobiet jest jednak taka, że Grupa jest odbiciem układu sejmowego, decyzje podejmuje przez głosowanie. Rozstrzyga większość, a nie racja.

Dobrze się pani czuje w polityce?

Bycie w polityce jest trudne dla kogoś, kto tak jak ja działał całe dorosłe życie w sektorze pozarządowym. Nie jestem już postrzegana jako Wanda Nowicka. Jestem Wanda Nowicka, Ruch Palikota. Muszę być cały czas gotowa reprezentować moje ugrupowanie.

Do polityki idzie się z nadzieją na dokonanie realnych zmian. Widzę, że to jest o wiele trudniejsze, niż mi się wydawało. Jestem w opozycji i wielu celów, o które zabiegam, nie uda mi się zrealizować. W opozycyjność wpisana jest frustracja.

Będąc w opozycji, można jednak – po pierwsze – wprowadzać ważne tematy, pomijane przez rządzących, do obiegu publicznego i politycznego. Nam udało się zwrócić uwagę na represyjne, a przy tym nieskuteczne prawo antynarkotykowe oraz na nadmierne wpływy Kościoła katolickiego.

Drugi kierunek działania partii opozycyjnej to budowanie ruchu społecznego i zwiększanie społecznego poparcia dla naszego programu. Na przykładzie ACTA widać, że mniejszość parlamentarna może zwyciężyć w jakiejś sprawie tylko wtedy, kiedy ma za sobą poparcie społeczne. Protesty obywateli mogą wymusić na rządzących zmianę polityki.

Składanie wielu projektów ustaw to nasze podstawowe zadanie, ale to nie jest najskuteczniejsza strategia osiągnięcia celów politycznych. Jeżeli chcemy doprowadzić do zmiany społecznej, zmiany kulturowej, to musimy odwoływać się bezpośrednio do społeczeństwa. Temu służą happeningi Ruchu Palikota, jak np. palenie marihuany przed Sejmem. Elity się oburzają, ale ludzie to rozumieją.

Jeszcze jedno udało się Ruchowi Palikota załatwić – to wylansowanie terminów marszałkini i wice-marszałkini. Używamy go w Sejmie i mówi tak coraz więcej osób.

Może Ruch zorganizuje jakiś happening w sprawach kobiet?

Gdyby na przykład przed Sejmem zorganizować demonstrację 14-latek z wózekkami albo z brzuchami, może inaczej

wyglądałaby debata nad ustawą o świadomym rodzicielstwie.

Czuje pani swoją władzę?

Dla mnie najfajniejszą konsekwencją udziału we władzy jest fakt, że ludzie zwracają się do mnie ze swoimi pomysłami, proszą o wsparcie. Ja bym chciała ten Sejm trochę przewietrzyć. Organizuję mnóstwo debat, żeby tu się coś działo między posiedzeniami,

kiedy sale są zamknięte na klucz. Żeby to nie był skostniały gmach. Sejm jest naszym wspólnym dobrem, powinien być otwarty i wsłuchiwać się w głos społeczeństwa. W końcu po to nas wybrali, byśmy reprezentowali ludzi, a nie samych siebie.

Rozmawiała Julia Kubisa, Aleksandra Bilewicz, Weronika Kostyrko



Pierwszy rząd sejmowych ław lewicy: szef klubu SLD Leszek Miller, Wanda Nowicka i szef klubu RP Janusz Palikot

REKLAMA

Co zobaczył Chuck Norris, gdy wszedł na 10 min?

Kilka kawałków.

Też bądź jak Chuck Norris i przyjdź do Banku Zachodniego WBK po rozbrajająco tani kredyt gotówkowy. Decyzja w 10 minut.

KREDYT GOTÓWKOWY W 10 MIN

1 9999
bzwbk.pl

WBK

Bank Zachodni WBK

Szczegóły oferty, informacje o opłatach, prowizjach i oprocentowaniu dostępne w placówkach BZ WBK i pod numerem 1 9999. Decyzja kredytowa uzależniona od wyniku badania zdolności kredytowej. Opłata za połączenie z numerem 1 9999 zgodna z taryfą danego operatora. Stan na 1.02.2012 r.

Żegnaj jelonku

Gdyby można było pozbyć się tego dziwnego uczucia paranoi. Codziennie odbieramy przecież na pozór jasne sygnały, że wszystko jest w porządku. Idą zmiany, rząd się nawrócił, system nas lubi, a ten wiosenny płaszczyk wyjątkowo twarzowy. Jednak pod powłóczką sprzyjających nam ustaw,

nowelizacji i porozumień mieszka kiczowaty jelonek z twarzą wiecznie marudzącego Przymusu. Czasami nosi on imię kredytu w banku, nieudanego związku lub bezrobocia. Ilekroć próbujemy od niego uciec – ot, choćby wybrać się do lasu na spacer – on wizualizuje się w najmniej oczekiwanym momencie. Podchodzi

całkiem blisko i grzebie w ziemi kopytkiem. „A panienska dokąd wędruje?” – pyta słowrogo i delikatnie bodzie nas rogiem. Wygania do miasta, wygania do roboty. Na taśmę, na etat, na rykowisko w wielkim biurówcu. A my zdziwione, zaniepokojone. Przecież miało być lepiej. Urlop, długi weekend, chorobowe, emerytura.

Pod powłoką zmian zawsze jest element rezygnacji, postu. Odmawiania przyjemności w imię czegoś lepszego. W imię Przyszłości.

W książce Michaela Ende „Momo” największym wrogiem wolnego czasu byli Szarzy Panowie, którzy zmuszali do oszczędzania godzin. Zamiast na kolację ze znajomymi – praca.

Zamiast z książką w fotelu – praca. W nieskończoność, nie wiadomo po co. Ludzie godzili się na coraz większe redukcje przyjemności w imię zastraszenia i grozy. Szarzy byli zimni, palili wciąż cygara i potrafili zjawić się w najmniej oczekiwanym momencie. Jedynie tytułowa dziewczynka Momo była na tyle odważna, aby wyjść poza narzucony schemat. Dzięki determinacji i sprytnie ukradła magiczny kwiat z kryjówek Szarych i tym samym uwolniła świat od kieratu oszczędzania. Kwiat natychmiast sprawił, że ziemia stała się ciepła i przyjazna. Ludzie znowu zaczęli ze sobą rozmawiać. I nie dlatego, że to się opłacało, ale po prostu: z przyjemności samego kontaktu z drugim człowiekiem.

Ach, zerwać kiedyś taki kwiat, najlepiej poranny, pełen rosy. Wybudzić się z letargu, przestać oszczędzać. I zignorować jelonka Przymusu.

Gdynia
Hasło: „Też jesteśmy oburzone!”
11 marca, godz. 12
Start: Urząd Miasta, al. Piłsudskiego 52/54 - al. Aleksandry Piłsudskiej



Szczecin
Manifa Równości”
11 marca, godz. 12
Hasło: Wolność, Równość, Świeckość!
Start: plac Grunwaldzki - plac Królowej Jadwigi

Kódź
Hasło: „Tak dla kobiet!”
8 marca, godz. 15
Start: pasaż Schillera - pasaż Włókniarek



DOŚĆ AROGANCJI PAŃSTWA WOBEC KOBIEC

Kraków
Hasło: „Dosyć arogancji państwa wobec kobiet!”
11 marca, godz. 12
Start: Collegium Novum (Plenty) – Collegium Nawojki

Wrocław
Hasło: „Chleba zamiast igrzysk!”
data 11 marca, godz. 14
Start: Rynek (przy pomniku Fredry) Przy pomniku Papuszy



PRZECINAMY XIII MANIFA PEPOWINE
11.03.2012 12:00 PKIN

Warszawa
Hasło: „Przecinamy pepowinę!”
11 marca, godz. 12
plac Defilad – plac Białego Miasteczka

Ulicznice

Nie mamy zbyt wielu przykładów do naśladowania – kobiet, na których mogłybyśmy się wzorować. Czy dlatego, że ich nie było? Nie, po prostu nie załapały się na uwiecznienie, chociażby w miejskim ulicznym panteonie

JULIA KUBISA

Warszawscy radni tak obawiają się, że czci Marii Skłodowskiej-Curie uwłaczać będzie, gdy ludność Warszawy powie: „pojadę Skłodowską”, iż chcą zmieniać nazwę mostu, którą dopiero co przyjeśli. Nie, nie jej się nie stanie. Pamięci księcia Józefa nie dzieje się krzywda, gdy warszawiacy jeżdżą „poniatoszczakiem”. Postacie historyczne uhonorowane w nazwach ulic żyją w społecznej pamięci. Jednak ich dobór uświadamia, że historia nie jest opowiedziana raz na zawsze – część się wyolbrzymi, a część przemilczy. To drugie znacznie częściej dotyczy kobiet. Dlatego wkurzyły się Włoszki i zażądały parytetu w nazwach ulic. Czas, by Polki też zaczęły się wkurzać. Czemu w Łodzi jest aleja Włókniarzy, a nie ma Włókniarek, skoro

przemysł włókienniczy opierał się na pracy kobiet? Czy w szkołach nie powinno poświęcać się więcej uwagi wyjaśnieniu, dlaczego kobietom przez setki lat odmawiano edukacji i dlaczego Nawojka musiała się przebrać za mężczyznę, by studiować na UJ? Czy w Warszawie pełnej martyrologicznych nazw ulic nie przydałoby się upamiętnienie niezwykle kobiecego i pracowniczego zrywu, jakim było białe miasteczko? Jak świetnie wyglądają adresy tegorocznych Manif powyżej – niech zostaną takie na zawsze!

Skoro już domagamy się reprezentacji kobiet w miejskich nazwach, to może zawalczmy o więcej – o język? Polscy kibice swój PMS przed Euro 2012 wyładowują na ministrze Musze. Teraz mają argument, bo popsuła świętą ojczyznę polszczyznę. Jak? Bo nie chciała udawać kogoś, kim nie jest,

czyli mężczyzny. Chcieć być sobą – czy to zasługuje na zarzut językowego gwałtu?

Język określa rzeczywistość. Czy można pomyśleć o czymś, czego nie można nazwać? Jak zmienić hierarchię władzy, jeśli dla kobiet nie ma miejsca w języku? Niechże będzie i ministra i marszałkini, i nianiek, niech przybywa wzorców do naśladowania, niech przybywa kobiet w polityce i mężczyzn w opiece. Jeśli zmieniamy język – zmieniamy myślenie o świecie. O tym, jak chcemy go urządzić. By uwzględniano w końcu kobiece potrzeby i codzienne doświadczenia, by kasa z budżetu szła na opiekę, zdrowie i edukację, a nie na stadiony i Fundusz Kościelny, by demokracja kształtowała się oddolnie. By kobietom i mężczyznom żyło się w tym kraju lepiej. O tym właśnie są Manify.

Zatem: dziewczyny, wkurzcie się na wiosnę!



I zerwę kwiat pełen rosy

ZDJĘCIA I TEKST JUSTYNA MIELNIKIEWICZ

Nasze piersi nie gryzą

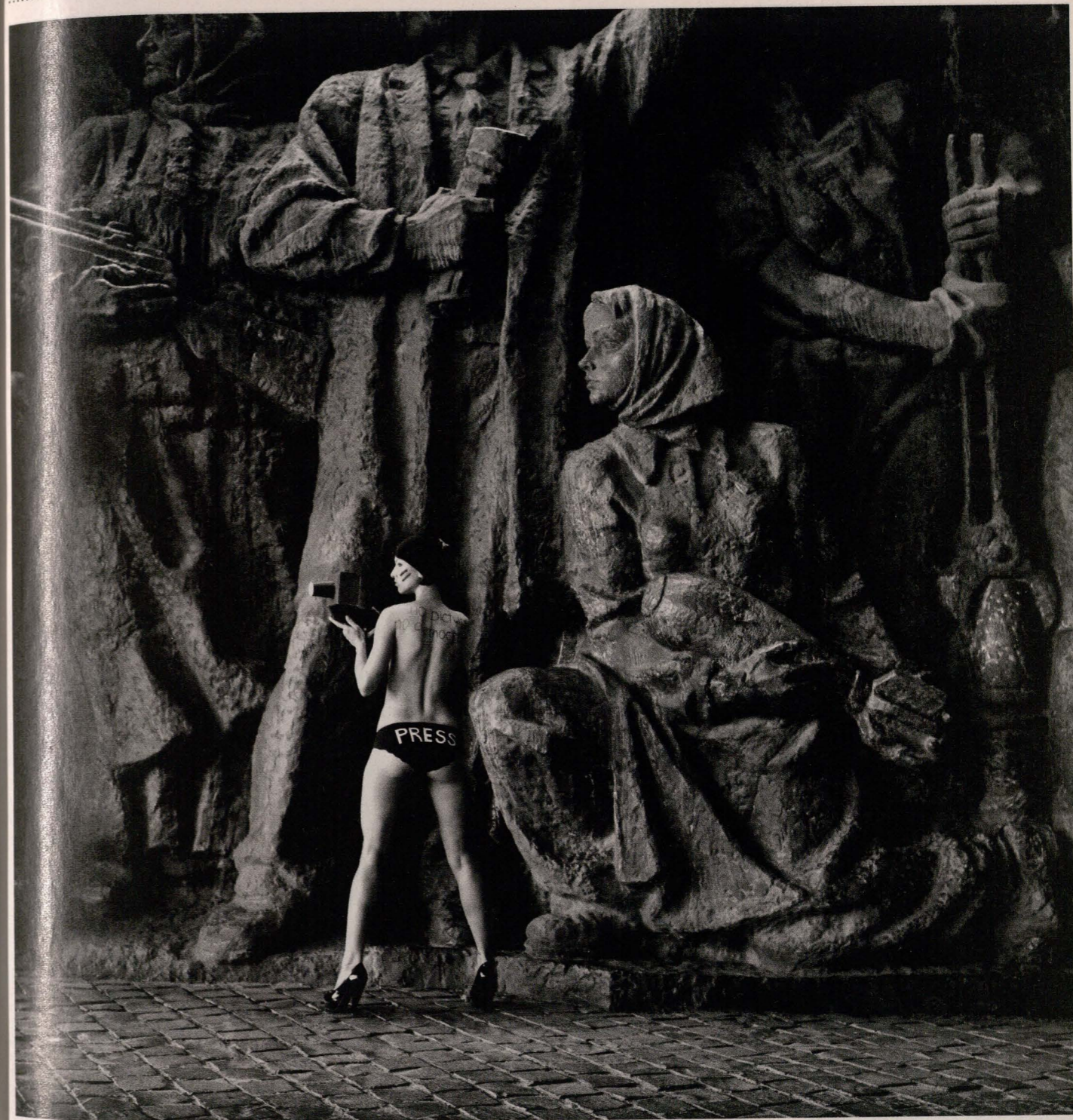
Aktywistki FEMEN to kobiety, które wzięły los Ukrainy w swoje ręce. Nie boją się policji, aresztu ani obrzucania wyzwiskami. Protestują topless, aby zwrócić uwagę na problemy, o których się milczy. Uważają, że feminizm powinien być sexy



← Iryna Goryszewa (19 lat), studiuje na Uniwersytecie Pedagogicznym i chce być nauczycielką. Aktywistka topless w FEMEN od wiosny 2010 r. Pod wpływem rodziców zrobiła przerwę, ale chce wrócić – bez względu na wszystko.

Kostium „Krovosys” – apel o udział kobiet w Gabinetach Ministrów Ukrainy. Politycy często popełniają błędy, próbując mówić po ukraińsku. Premier Azarow zamiast „krwopijca” („krovo-sos”), powiedział „ssący cycki” („krovo-sys”). Iryna odwiedziła premiera z okazji jego urodzin.

↓ Aktywistki FEMEN idą na akcję. Dzielą dwupokojowe mieszkania na przedmieściach Kijowa.



↑ Tatiana Zacerkowna (22 lata), od kilku miesięcy aktywistka topless w FEMEN i artystka zajmująca się projektowaniem i ozdabianiem ubrań. Pochodzi z małego miasteczka w obwodzie mikołajowskim, skąd przyjechała sześć lat temu.

Protest: „Nie ma zdjęć – nie ma demokracji”, z karabinem zamiast aparatu fotograficznego. „W Gruzji aresztowano pięciu dziennikarzy, w tym fotografa prezydenta. Zostali oskarżeni o szpiegostwo na rzecz

Rosji mimo braku dowodów. Dziennikarze często nas chronią – także przed policją – i pomagają nam również szerzyć nasze idee, dlatego chcielibyśmy zaprotestować. Strażnik ambasady gruzińskiej zachował się w przewidywalny sposób: zaatakował nas, a także dziennikarzy relacjonujących protest. To był dowód na to, że wolność słowa nie istnieje. Później władze gruzińskie przeprosiły nas i wyrzuciły strażnika, więc myślę, że protest się udał”.



↑ Diana Senicz (20 lat), aktywistka topless w FEMEN od 2010 r. – po tym, jak zobaczyła protest w telewizyjnych wiadomościach. Przyjechała do Kijowa z obwodu żytomirskiego, by studiować filozofię. Została zatrzymana dwa razy, ale jeszcze nie była aresztowana. Kostium „Nasze piersi nie gryzą!” został przygotowany na protest przeciwko legalizacji prostytucji na Ukrainie przed Euro 2012. „Nie jesteśmy przeciwko piłce nożnej, jak ludzie sądzą, ale jesteśmy za Euro

2012 bez prostytucji. Na ten pomysł wpadliśmy, przygotowując protest: skoro policja oraz władze boją się naszych piersi i aresztują nas za nie, założymy na nie kagańce – żeby nie były już groźne, żeby pokazać: OK, będziemy nosić kagańce, ale będziemy dalej protestować, że nasze piersi nie gryzą, i będziemy protestować niezależnie od tego, jak bardzo to ich przeraża”.

→ Inna Szewczenko (21 lat), aktywistka topless w FEMEN, zajmuje się logistyką organizacji i jest dziennikarką. Przyjechała do Kijowa z małego miasteczka na południu Ukrainy. Zaczęła działać w FEMEN, kiedy kończyła studia i pracowała w biurze prasowym ratusza. Straciła pracę i dostawała ostrzeżenia z uniwersytetu. Była aresztowana ponad 15 razy za protestowanie topless.

Kostium: Julia Tymoszenko – stracona szansa dla Ukrainy. „Podczas Pomarańczowej Rewolucji, kiedy byłam w szkole, nosiłam taką samą fryzurę, chciałam być jak ona. Myślałam »Mój Boże! Ona jest pierwszą kobietą walczącą o ukraińską niepodległość«. Z czasem zrozumiałam, że tylko ja tak myślę, że nie jest przykładem dla innych kobiet. Tymoszenko to stracona szansa. Teraz stara się wykreować na bohaterkę, ale to już nie działa. Nigdy nie zajęła się sprawami kobiet na Ukrainie, i dlatego nie uważam jej za dobry przykład dla ukraińskich polityczek”.



← Anna Deda (28 lat), dziennikarka z wykształcenia i z zawodu. Jej matka: Olga Siergiejewna – Deda (64 lata), emerytowana inżynierka. Obie są aktywistkami topless w FEMEN. Anna przyjechała do Kijowa z Charkowa, Olga wciąż tam mieszka. Zachęcona przez córkę jak ona została aktywistką topless. Protestowała przeciwko reformie podwyższającej wiek emerytalny dla kobiet.

„Przychodzi czas, kiedy kończy się cierpliwość ludzi. Dziewczyny z FEMEN i ja – na razie jedyna mama pośród nich – zaczynamy działać, a inni zaczynają zwracać na nas uwagę”.





↑ **Protest „Przestaw swój umysł”**

11 października 2011 r. FEMEN protestował zarówno przeciwko polityce prezydenta Janukowycza, jak i liderce opozycji Julii Tymoszenko. Protest odbywał się przed sądem, gdzie Tymoszenko została skazana za nadużycia w transakcjach gazowych. „Było do przewidzenia, że Janukowycz nam tego nie wybaczy” – mówi Anna Deda.

Dziewczyny przywiązały się łańcuchami do wielkiego napisu nad wejściem do Centralnego Domu Towarowego w Kijowie, wołając do ludzi, żeby przestawili swój umysł i zaczęli myśleć. Tłum był podzielony. Niektórzy chwalili dziewczyny za odwagę, inni nazywali je dziwkami. „Przez ostatnie pół roku udowodniłyśmy, że jesteśmy samodzielne



i niezależne. Że nie jesteśmy na sprzedaż. Że jesteśmy gotowe na to, żeby siedzieć w więzieniu, być bite przez policję, przez ludzi z ambasad gruzińskiej czy kogokolwiek, że będziemy chronić naszymi piersiami tych, którzy wymagają ochrony – chronić Ukrainę” – mówi Sasza, która została aresztowana w czasie protestu.

„Policja teoretycznie jest neutralna. Do 2010 r. protesty topless były legalne. Jednak potem zostały zaklasyfikowane jako nieobyczajne zachowanie. Stało się to po tym, jak zorganizowałyśmy wiec w punkcie wyborczym, gdzie miał głosować prezydent Janukowycz. Odtąd jesteśmy bardzo dokładnie obserwowane i każdy protest kończy się aresztem” (Anna Hutsol).

Po pierwsze: nie gwałć

Raport o gwałtach powinni przede wszystkim przeczytać mężczyźni

ALEKSANDRA BILEWICZ

Doświadczenie gwałtu wciąż jest w Polsce powodem do wstydu. Tymczasem to mężczyźni, którzy są sprawcami, powinni się wstydzić. Wstydzić powinni się też policjanci, którzy upokarzają kobiety w trakcie przesłuchań, i lekarze, którzy traktują je przedmiotowo w czasie badań. Kobiety, które mimo to chcą mówić o swoich doświadczeniach, zamyka się usta. „Mam ogromną niezgodę na to, żeby o gwałcie, o przemocy seksualnej nie mówić” – mówi jedna z nich.

Cytat pochodzi z wydanego niedawno przez fundację Feminoteka raportu „Dość milczenia. Przemoc seksualna wobec kobiet i problem gwałtu w Polsce” pod redakcją Joanny Piotrowskiej i Aliny Synakiewicz. To pierwsza tak wielostronnie traktująca temat publikacja w Polsce, ale co jeszcze ważniejsze – na prawach ekspertek wypowiadają się w raporcie kobiety, które doświadczyły gwałtu.

Kultura gwałtu

Przyczyny gwałtu tkwią głęboko w patriarchalnej kulturze. „Gwałt to nie jest jednostkowa sytuacja pomiędzy dwojgiem ludzi, tylko to jest tak naprawdę problem systemowy, problem relacji między kobietami a mężczyznami, które są oparte na dominacji i hierarchii. Właściwie my wszyscy jesteśmy za to odpowiedzialni” – mówi Alina Synakiewicz. Jacek Fenderson, współautor raportu, dodaje zaś: „Opowiadamy się za tym, żeby dotknąć źródeł tego problemu, czyli utartych schematów i relacji władzy w społeczeństwie, które ustawiają kobiety w określonych rolach społecznych, a te relacje determinują tak naprawdę prawdopodobieństwo przemocy seksualnej. Jest naukowo dowiedzione, że im bardziej męskość jest kojarzona z dominacją, z brakiem empatii, z honorem, a kobiecość z biernością, wrażliwością i uległością, tym większe jest przyzwolenie na gwałt”.

Gwałt potocznie wiązany jest z seksualnością, z zaspokajaniem potrzeb mężczyzn kosztem kobiet. Tymczasem należy go rozumieć przede wszystkim jako akt przemocy

służący utrwaleniu hierarchii między płciami. „Cały czas istnieje stereotyp, że gwałciiciel to jakiś wykołajeniec, dewiant, a tak naprawdę są to zwykli faceci. Mężczyźni, którzy wyrosli w społeczeństwie, w którym stosowanie przemocy wobec kobiet jest normą. Z naszego badania wynika, że polskie społeczeństwo jest społeczeństwem przyzwalającym na gwałt. Powszechnie są na przykład dowcipy na temat przemocy seksualnej, filmy, w których gwałty się seksualizuje i ukazują jako coś podniecającego” – podkreśla Synakiewicz. „Jak kobiet jest za dużo w przestrzeni publicznej, jak są za pewne siebie, przemoc seksualna ma na celu ich osłabienie”. Przykładem „ustawiania kobiet” poprzez gwałt są tak zwane „gwałty korekcyjne”, których ofiarą padają kobiety nieheteroseksualne.

Męcząca sprawa?

Z raportu jasno wynika, że gwałt jest doświadczeniem ogromnej liczby kobiet w naszym kraju, a organy ścigania i służby medyczne często wzmocniają cierpienie ofiar. Kiedy kobieta zdecyduje się złożyć zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa, zazwyczaj czeka ją pasmo upokorzeń. „Większość kobiet, które spotkała przemoc seksualna i zdecydowały się o tym komuś powiedzieć, doświadcza tak zwanej wtórnej wiktyimizacji. Jest to sytuacja, w której krzywdząca reakcja, bagatelizująca doświadczenie ofiary, powoduje, że ona przeżywa tę traumę jeszcze raz” – mówi Alina Synakiewicz. „Cały czas pokutuje przekonanie, że ofiara jest odpowiedzialna za zapobieganie gwałtowi, że ten gwałt spowodowała, bo znalazła się w nieodpowiednim miejscu o nieodpowiedniej godzinie. W czasie przesłuchania kobiety często są pytane, jak były ubrane, jakie miały doświadczenia seksualne, ilu miały partnerów. Na sali sądowej ofiara i sprawca są często przesłuchiwanymi w tym samym czasie”. Upokarzanie kobiet polega też na ich przedmiotowym traktowaniu: „Podmiotowość kobiet często w ogóle nie jest brana pod uwagę: one są »sprawą«. Gdy w ramach badań rozmawialiśmy z lekarzami, jedna lekarka powiedziała, że kontakty z kobietami po gwałcie są dla niej męczące”.

Najczęściej nie zdajemy sobie sprawy, jak bardzo obciążającym psychicznie doświadczeniem jest gwałt. Osoby zgwałcone w ogromnej większości cierpią na zespół stresu pourazowego – PTSD (czyli to samo zaburzenie, które dotyczy żołnierzy powracających z Iraku czy więźniów obozów koncentracyjnych). Objawia się ono przerażeniem, bezsennością, deficytem koncentracji. „Poczucie własnej wartości i bezpieczeństwa osoby, która doświadczyła gwałtu, zostają zrujnowane. Boi się ona prowadzić normalne życie. To może się ciągnąć przez długie lata” – mówi Jacek Fenderson. Mimo to, jak podkreśla Alina Synakiewicz, „można odnieść wrażenie, że bardziej chronioną stroną jest sprawca niż ofiara. Na przykład rzadko nakłada się na sprawcę zakaz zbliżania się do ofiary. Często zgwałcona kobieta nadal mieszka ze sprawcą przemocy seksualnej pod jednym dachem. Bo gwałciicielami najczęściej są osoby, z którymi kobiety pozostają w bliskich relacjach, są to mężowie, partnerzy życiowi. Wymuszanie stosunku w małżeństwach jest nadal tematem tabu”.

Wiele kobiet nie decyduje się na zgłaszanie gwałtu, obawiając się, że ich sprawa będzie bagatelizowana, dlatego sprawcy pozostają bezkarni. Aby to nastawienie mogło ulec zmianie, niezbędna jest instytucjonalna, jakościowa zmiana. W 2009 r. powstała Platforma Działania przeciwko Przemocy Seksualnej, zrzeszająca instytucje publiczne, samorządowe i pozarządowe. Jednak, jak pisze Zofia Nawrocka, w części raportu poświęconej działaniom rządu, niewiele udało się dotąd zdziałać.

Czyja to wina?

Aby przeciwdziałać gwałtom, należy, oprócz prowadzenia działań profilaktycznych czy pomocowych docierać przede wszystkim do mężczyzn. Dotychczas programy profilaktyki gwałtu były skierowane do kobiet, dzięki odpowiedniemu zachowaniu (niewiadaniu do windy z nieznanym, skromnemu ubiorowi itp.) miały uniknąć gwałtu. W jakimś sensie te propozycje zakładają akceptację istnienia przemocy seksualnej – zaleca się kobietom jedynie indywidualne strategie jej unikania. Jak mówi Alina Synakiewicz, „kobieta

zgwałcona boryka się z poczuciem winy, zastanawia się, czy zrobiła wszystko, żeby do tego nie dopuścić. Bo może gdyby nie wyszła wtedy z domu albo nie miała butów na obcasie, to udało by się gwałtu uniknąć. Stąd też głębokie przekonanie u wielu kobiet, że gwałt nie przydarza się zwykłym kobietom, tylko tym, które zachowują się w niewłaściwy sposób”. Dlatego na drugiej stronie okładki raportu umieszczonych zostało „10 porad, jak zapobiegać gwałtom” skierowanych do mężczyzn. „To jest ironiczne, ale też jest praktyczne” – komentuje Jacek Fenderson. „Chodzi o odwrócenie perspektywy. Do tej pory poradę, jak uniknąć gwałtu, kierowano do kobiet, ale tworzenie opresyjnych schematów zachowań nie jest rozwiązaniem. Nie chodzi nam

o stosunku do kobiecej seksualności: „Nie żyjemy w świecie, który afirmuje kobiecą seksualność. A taka afirmacja mogłaby być środkiem w pewnym sensie zaradczym, redukujących akty przemocy seksualnej. Tak naprawdę w społeczeństwie, które nie pozwala kobietom mówić »tak«, jeśli mają ochotę na kontakty seksualne, też i odmowa nie jest słyszalna. Jest taka dychotomia: możesz być albo ladczyką, albo madonną, i to ta druga jest wzorem do naśladowania, choć ta pierwsza jest pociągająca”. Fenderson uzupełnia: „Panujące wzorce seksualne powodują, iż dla mężczyzny posiadanie wielu partnerek jest społecznie aprobowanym stanem, natomiast posiadanie wielu partnerów seksualnych dla kobiety jest czymś wstydlivym. Istnieją po-

Synakiewicz. Raport pokazuje, że odczuwają one potrzebę mówienia o swoich doświadczeniach. „Większość z nich podkreślała, że chciały rozmawiać o tym doświadczeniu z rodziną czy z jakimiś instytucjami, i były uciszane, bagatelizowane, sugerowano im, że to jest dla rozmówcy zbyt trudny temat. Dzięki rozmowie z nami odzyskały sprawczość, podmiotowość” – dodaje Synakiewicz, która dotąd utrzymuje kontakt z częścią kobiet zaproszonych do oceny raportu. Ich wnioski można by podsumować następująco: potrzebne są zmiany w prawodawstwie. Polska jest jedynym krajem w Europie, w którym gwałciiciel jest ścigany na wniosek osoby pokrzywdzonej. Co prawda, intencje ustawodawców były takie, żeby dać kobietom wybór,



10 porad, jak zapobiegać gwałtom

1. Jeśli kobieta mówi „nie”, to znaczy „nie”.
2. Nie wrzucaj kobietom narkotyków do drinków.
3. Kiedy widzisz kobietę idącą samotnie, zostaw ją w spokoju.
4. To, że pomogłeś komuś naprawić samochód, nie daje ci prawa do seksu w zamian.
5. Nie tłumacz swojej agresji wobec innych tym, że to oni ciebie prowokują.
6. Winda to nie ring, nie atakuj w niej.
7. PAMIĘTAJ! Z osobą, która śpi lub jest nieprzytomna, nie można uprawiać seksu. To nie seks – to gwałt!
8. Seks, na który kobieta nie wyraża zgody, to gwałt.
9. Traktuj inne kobiety tak, jak chciałbyś, aby twoi koledzy traktowali bliskie ci osoby – twoją dziewczynę, siostrę czy matkę.
10. Nie gwałć. Nie bądź tym, który to robi.

o tworzenie społeczeństwa, które dostosuje się do istniejącej przemocy seksualnej”. Rzecz jasna, same porady nie wystarczą. „Stworzenie tych 10 zasad jest pierwszym krokiem. Możliwe jest to, że trafią one jedynie do wąskiej grupy ludzi, gdyż raport ma wąski zasięg, ale to nie ma zastępować systemowej edukacji”. Zmiana musiałaby dotyczyć także stereotypowych wyobrażeń o seksie. Dziś jest on wciąż rozumiany jako aktywność przede wszystkim męska, w której kobieta jest stroną bierną, obiektem dominacji. Świadczą o tym chociażby używane w potocznym języku, nacechowane negatywnie wyrażenia takie jak np. „wyruchać” czy „robić laskę”, które wiążą się z podporządkowaniem, poniżeniem czy hańbiącym wykorzystaniem. Jak uważa Synakiewicz, wynika to z represyjnego

dwójne standardy. Jednej płci jest odmawiane prawo do czerpania radości z doznań erotycznych, a druga jest w tym uprzywilejowana”.

Dość zamykania ust

Zacząć trzeba zatem przede wszystkim od upodmiotowienia samych kobiet, zwłaszcza tych, które doświadczyły seksualnej przemocy. „Standardem, jeśli chodzi o badania naukowe, jest sytuacja, kiedy osoba, która doświadczyła traumatycznego zdarzenia, jest jedynie przedmiotem badań. Metodologia feministyczna stawia sobie za cel odwrócenie tego paradygmatu i postawienie kobiet zgwałconych w roli ekspertek. Bo to one przeszły całą tę drogę poniżających sytuacji w różnych instytucjach, drogę odbudowywania relacji z najbliższymi” – wyjaśnia

jednak skutkuje to tym, że rzadko decydują się one na złożenie doniesienia. Policja zaś czasem wzbrania się przed wszczęciem postępowania, bo gwałty to przestępstwa o niskiej wykrywalności, psujące statystyki policyjnej wydajności. Najważniejsze jest jednak egzekwowanie istniejących praw. Trzeba zwracać uwagę na mężczyzn jako sprawców przemocy seksualnej i jak najwięcej edukować. A także dbać o komfort przesłuchiwanym kobiet, nie wychodząc z założenia, że nie będą chciały mówić o swoich traumatycznych doświadczeniach: „Mam poczucie, że często nam się zamyka usta, twierdząc, iż to my nie chcemy mówić, że się wstydzimy. A ja nie mam w sobie tego wstydu i nie chcę go mieć” – mówi jedna z kobiet, która brała udział w badaniu Feminoteki.

Świat w sieci



ANNA GRODZKA

Autorka felietonu jest postanką Ruchu Palikota

Pojawienie się w końcu ubiegłego wieku Internetu i jego rosnące znaczenie po roku 2000 stworzyło całkiem nową sytuację. Dla biznesu, w tym przede wszystkim biznesu działającego w obszarze kultury i komunikacji społecznej, Internet stał się nowym wyzaniem i nadzieją. Nie można wyobrazić sobie tańszego sposobu na dotarcie z treścią do klienta. Dla wszystkich mających dostęp do sieci Internet jest często jedyną możliwością obcowania z kulturą, jedynym sposobem na bieżący kontakt z wieloma ludźmi, miejscem spotkań, wolnością – agora.

W świecie materialnym już niemal nie ma miejsc wspólnych, w których wykuwała się pomiędzy ludźmi z różnych środowisk opinia. Ogrodzone posesje, strzeżone budynki firm i instytucji, prywatne grunty. Zamykamy się w swoich twierdzach, izolując od świata. Nam pozostały tylko place i ulice pełne jadących lub zaparkowanych samochodów, chodniki pełne pospiesznie mijających się w milczeniu ludzi i galerie handlowe. No i jest nasze otwarte okno – okno internetowej przegładarki.

Przy biurku pali się lampka. Wpatrzona w ekran komputera otwieram kolejne okna. A tam... trwa wojna. Wojna brutalna i brudna. Wojna biznesu, który nachalnie atakuje nas reklamami, gazet i portali, które zawzięcie walczą o „ogładalność”, licząc na dochody z reklam. Hochsztaplerów i złodziei, którzy usiłują (najczęściej dość skutecznie) zarobić,

Dzisiaj agora to także idea. Idea komunikacji społecznej, władzy obywateli, wolności słowa.

Gdzie jest dzisiaj moja agora?

Niel Nie zamierzam zastanawiać się, ile w firmie Agora jest agory. Nie ma jej tam tyle, ile mi potrzeba.

Siedzę w domu, pod moim dachem, bezpiecznie chroniona od deszczu lub słońca. Wpatruję się w ekran laptopa. „Tu przychodzi”, jeśli chcę się czegoś dowiedzieć, potrzebuję inspiracji, wymiany opinii z innymi ludźmi lub po prostu coś od siebie dać czy powiedzieć. Zaglądam tu także, jeśli chcę coś kupić albo sprzedać. Wpisuję w Google frazy. Po chwili otwiera się przede mną... moja agora – moja wolność.

sprzedając nam to, czego sami nie wytworzyli ani nie kupili, oferując nam cudze filmy, piosenki, teksty.

Omijam te krwawe wojenne widoki w oknach. Czytam blog. Ktoś pisze o umowie ACTA – obiecałam redaktorowi Kurkiewiczowi felieton. Szukam inspiracji.

Gdyby nie to, że korzystam z wiedzy innych, obserwuję ludzkie postawy, zbieram różne opinie i dokładam do tego własne refleksje oraz serce, redaktor Kurkiewicz nie dostałby mojego felietonu. To jest mój Internet. Dziś własność to świętość. Czy umiemy sobie wyobrazić NASZ wspólny Internet – miejsce, w którym stoją „świątynie, biblioteki i budynki użytku publicznego. (...) Działają tam najważniejsze państwowe urzędy, a kupcy oferują swe towary”? Miejsce, w którym czuję się wolna, by korzystać z idei i myśli innych ludzi, gdzie czuję się wolna, by dzielić się tym, co stworzę z innymi. Miejsce, gdzie to, co nie jest towarem wystawionym na sprzedaż, jest do użytku wspólnego?

Dzisiaj nawet trudno wyobrazić sobie realną demokrację bez Internetu, świat bez agory. Więc może po prostu nie mamy innego wyjścia, jak uczynić Internet miejscem, z którego każdy dla własnych niekomercyjnych celów może czerpać do woli wszystko, do czego ma wolny (niezabezpieczony) dostęp, pod warunkiem wskazania miejsca, z którego kopiuje, lub/i autora, jeśli jest pod dziełem podpisany?

REKLAMA



„Na czas kryzysu trzeba zamykać giełdę”

Koniec z ekonomicznymi absurdami! Wejdź na ekonomia24.pl, portal ekspertów „Rzeczpospolitej”.

ekonomia24.pl

OFFplus+
camERA
prezentuje
bierzcie
i kręćcie

zbierz ekipę!
i nakręć film!



wygraj:
3x3000\$

weekend
w Krakowie

www.idfilm.pl



plus+
Ty plus festiwal

allegro
Short Film

tvn24 Relacja
z wydarzenia

patroni
medialni:

RMF

Classic

PRZEKROJ

onet.

tvn

Niewinne czarownice

W Niemczech trwa debata nad rehabilitacją tysięcy kobiet i dziewczynek spalonych na stosach za rzekome czary

STANISŁAW RAJEWSKI

Jak na początek XVII w. Katharina Henot była kobietą sukcesu. Pochodziła z katolickiej patrycjuszowskiej rodziny z Kolonii. Po ojcu odziedziczyła przedsiębiorstwo pocztowe, którym osobiście zarządzała, i prawdopodobnie była pierwszą kobietą w Niemczech, która zajmowała tak wysokie stanowisko menedżerskie. Według legendy była też bajecznie piękna. Nic dziwnego zatem, że na równi z podziwem budziła zawiść i niechęć.

W 1627 r., na podstawie donosu pewnej zakonniczki, rada miejska Kolonii kazała ją aresztować. Zarzut? Czary i pakt z diabłem. Henot miała sprowadzić na koloński klasztor Klarysek plagę gąsienic i odpowiadać za śmierć kilku osób, na które rzekomo rzuciła urok. Nawet torturowana nie przyznała się do niczego. Jeszcze przed śmiercią okaleczoną ręką pisała ledwo czytelne listy do rady miejskiej i arcybiskupa, w których przysięgała, że jest niewinna. 19 maja 1627 r. jako „zatwardziała grzesznica” została spalona na stosie.

Bezprawie jest bezprawiem

Niemal natychmiast stała się legendą. Dziś w Kolonii jej imię noszą ulica i szkoła, a na fasadzie ratusza kilka lat temu władze umieściły płaskorzeźbę przedstawiającą Katharinę w ostatnich chwilach życia.

Inne niemieckie „czarownice” nie mogły liczyć na tyle miejsca w ludzkiej pamięci. Teraz mają szansę na urzędową rehabilitację. W ubiegłym roku Düsseldorf, jako pierwsze duże niemieckie miasto, dokonał „społeczno-etycznej” rehabilitacji kobiet podejrzewanych o czary i zamordowanych z wyroku rady miejskiej. Podobnych uchwał w niemieckich miastach jest już 13. Miesiąc temu Kolonia zrehabilitowała Katharinę Henot.

– Bezprawie jest bezprawiem, niezależnie od tego, czy popełnione wczoraj, czy wiele lat temu – mówi nam Hartmut Hegeler, pastor z Kolonii, który doprowadził do rehabilitacji Kathariny Henot. Ten 65-letni duchowny i emerytowany nauczyciel

gimnazjum zainteresował się procesami czarownic w 2001 r. Jak sam przyznaje, dzięki swoim uczniom, którzy zadali mu proste pytanie: „Czy Henot została zrehabilitowana?”. Od tego momentu badał możliwość przywracania czci skazanym w procesach o czary przez współczesne instytucje świeckie. W 2005 r. Hegeler założył grupę roboczą, skupiającą historyków i amatorów zajmujących się „czarownicami”. Zespół organizuje imprezy, promuje ideę rehabilitacji i wspiera inicjatywy lokalnych polityków.

Dziś Hegeler walczy w Akwizgranie. Od lipca ubiegłego roku członkowie jego grupy domagają się od radnych uchwały potępiającej spalenie na stosie w 1649 r. 13-letniej dziewczynki. Choć nie jest znane jej imię, to w miejscowym Kolegium Jezuitów zachowały się szczegółowe akta jej procesu. Była ostatnią „czarownicą” żywcem spaloną w Akwizgranie. Należała do rodziny włóczęgów kryminalistów. Czterej bracia dziewczynki byli łamani kołem i w końcu zamęczeni na śmierć w Holandii. Ojca i piątego brata spotkał ten sam los w Akwizgranie. Matkę strażnicy zastrzelili podczas próby ucieczki. Oskarżona o czary i trucicielstwo dziewczynka wkrótce spłonęła na stosie.

Do dziś nie ma śladu w mieście po tym wydarzeniu. Radni zgodzili się co prawda na ufundowanie tablicy pamiątkowej, jednak zdecydowanie odmówili podejmowania jakichkolwiek uchwał. Odpowiedź Dietmara Kottmanna, który ocenił wniosek „adwokatów” dziewczynki pod względem prawnym, była krótka: „Nie ma żadnego powodu, żeby przyjmować taką uchwałę. Krewni, którzy mogliby na niej skorzystać, nie są znani. Poza tym nikt dziś nie wątpi, że ówczesny zarzut czarów z punktu widzenia nauki jest nonsensowny i bezprawny. Uchwała jest zatem zbędna”.

Honor i godność do zwrotu

Zwolennicy rehabilitacji kobiet skazanych za czary energicznie odpierają zarzuty o uleganie zbiorowej fanaberii. – Zwracając dobre imię bezprawnie pomordowanym, wyczulamy ludzi na współczesne ofiary – mówi

pastor Hegeler. – Przecież dzisiaj wciąż w niektórych regionach Afryki, Azji, Ameryki Łacińskiej i Bliskiego Wschodu wiara w czary jest wszechobecna. Nikt nie wie, ile istnień ludzkich rocznie zabiera zabobon. Wiadomo jednak, że na prześladowania wystawione są te same grupy społeczne co w średniowieczu.

Inne argumenty za rehabilitacją przytaczają radni Hofheim am Taunus, którzy jeszcze w marcu 2010 r. symbolicznie skasowali wyroki wobec 11 kobiet, skazanych w XVI i XVII w. na stos, karę śmierci lub więzienie. „Z okazji Międzynarodowego Dnia Walki z Przemocą wobec Kobiet potępimy wszystkie objawy przemocy i dyskryminacji. Akt przemocy – niezależnie od tego, czy dokonany w przeszłości, czy obecnie – jest łamaniem praw człowieka. Niestety przemoc wobec kobiet ma długą historię i wciąż jest obecna w codziennym życiu. Spirala przemocy musi zostać przerwana. A może się tak stać tylko wtedy, gdy przestanie być tematem tabu” – czytamy w uzasadnieniu uchwały. „Radni potępiają przemoc, której ofiarą padły obywatelki naszego miasta wieki temu. Dokonujemy również ich rehabilitacji, zwracamy honor i godność. Chociaż nie jesteśmy prawnymi spadkobiercami sprawców, czujemy na sobie moralny obowiązek przeprosin za ich czyny” – napisali politycy z Hofheim.

Nie wszyscy w Niemczech chcą jednak rehabilitacji „czarownic”. Według jej przeciwników to tylko niedorzeczna moda, która splota znaczenie śmierci i cierpienia.

– Cała ta histeria z rehabilitowaniem wiedźm jest niesmaczna. Ludzie, którzy się tym zajmują, traktują to jak zabawę w inicjatywę obywatelską. Uznałbym to za absurd, gdyby sprawa nie dotyczyła horroru i makabry 30 tys. osób. Symboliczne wywlekanie trupów po tylu latach, wbrew deklaracjom aktywistów, odziera je z powagi i godności. Dla mnie to po prostu niezdrawe – mówi nam Arnold Angenendt, katolicki teolog i historyk Kościoła. – Tak samo niedorzeczne są próby interpretowania wydarzeń sprzed kilku wieków przez pryzmat współczesnych ideologii.



Rzeźba przedstawiająca Katharinę Henot została umieszczona na wieży ratusza w Kolonii 9 lutego

Jak daleko posuniemy się w tym szaleństwie? Zażądamy od Włoch rehabilitacji Spartakusa jako przywódcy związków zawodowych gladiatorów, walczących o poprawę warunków socjalnych w pracy? – pyta retorycznie.

Wtóruje mu Nicole Röck-Knüttel, chadecka radna z Wiesbaden, która nie chce dopuścić do rehabilitacji „czarownic” w swoim mieście, czego z kolei domagają się politycy Partii Lewicy i Piratów.

– Robienie z tego kwestii dyskryminacji kobiet to tylko dowód na instrumentalne i ideologiczne traktowanie tematu – mówiła polityk w jednym z prasowych wywiadów. – Takie podejście przypomina mi praktykę nazistów: oni również używali „polowań na czarownice” do wspierania narodowego socjalizmu. Próbowali stworzyć pozytywny obraz „czarownic” w świadomości społecznej. Miały one być bohaterkami strażniczkami starogermańskich tradycji, które padły ofiarą niszczycielskiej żydowsko-chrześcijańskiej kampanii. O dziwo, ten ludowo-feministyczny obraz wykreowany przez zbrodniczy reżim przetrwał do naszych czasów – dodała.

Skazane zgodnie z prawem

Rehabilitacja „czarownic” jest również problemem prawnym. Współczesne władze samorządowe, landowe i tym bardziej federalne w gruncie rzeczy nie mogą uniewinnić „czarownic”. Powód? Wszystkie procesy, które były pokłosiem polowania na „czarownice”, odbywały się na terenie Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego, a Republika Federalna Niemiec nie jest prawnym spadkobiercą cesarstwa. Samorządy nie mogą zatem dokonać prawnej rehabilitacji ofiar, tak jak chociażby rząd federalny zrobił w przypadku dezertersów z Wehrmachtu. Dlatego muszą szukać pośrednich formuł i przyjmować uchwały o zadośćuczynieniu społeczno-moralnym, które oczywiście nie są „rehabilitacją” w prawnym rozumieniu tego słowa.

Sprawę komplikuje też fakt, że „czarownice” zostały skazane i stracone zgodnie z obowiązującym wówczas prawem. – Może się to nam nie podobać. I słusznie. Ale oceniając na siłę wydarzenia sprzed czterech wieków na podstawie współczesnych standardów, popełniamy takie samo barbarzyństwo jak organizatorzy polowań na „czarownice” – mówi nam Angenendt.

Te spory mogą dziwić kogoś, kto nie zna szczególnej roli „czarownic” w niemieckiej kulturze i historii. 85 proc. wszystkich stosów zapłonęło właśnie w Niemczech. Tysiące kobiet, które w czasie XVII-wiecznej, zbiorowej psychozy polowania na „czarownice” w Niemczech zginęły na stosach, wciąż jednak czeka na rewizję swoich wyroków. Zamkowe i miejskie archiwa niemieckich miast są pełne akt sądowych skazanych „czarownic”. Każda z nich ma swoją makabryczną historię. I każda z nich, jako niewinna ofiara, zasługuje na pamięć.

Włoszki odzyskują płęć

Włoszki budzą się po Berlusconi. Mają dość bycia uległymi seksbombami. Wałą w bębny i chcą feminizować nazwy ulic



Włoszki protestują w Rzymie przeciwko rządowi Silvia Berlusconi, luty 2011 r.

MILADA JĘDRYSIK

Nawet najmniejsza włoska dziura szczyci się swoją piazza Garibaldi, w najgorszym razie via Garibaldi. Po zjednoczeniu kraju w połowie XIX w. w centrach włoskich miast i miasteczek tradycyjne nazwy zastępowano tymi upamiętniającymi nowych bohaterów. Bohaterów – nie bohaterki.

Gdzie podziła się wtedy żona Garibaldiego Anita, która walczyła z nim ramię w ramię? W Brazylii jej imieniem ochrzczono nawet miasto. Przez kilkanaście lat podróży po Półwyspie Apenińskim nie trafiłam na Anitę Garibaldi ani razu.

Dzisiaj we Włoszech głośno o inicjatywie działaczki ruchu kobiecego Marii Pii Ercolini, która chciałaby, żeby więcej nazw dostało się kobietom.

Bo jest rzeczywiście kiepsko: w Rzymie tylko 2 proc. ulic i placów ma patronki. W Sassari na Sardynii na 300 kobiet dostały się tylko dwie. Przegrywają nawet święte ze świętymi, a w skali całych Włoch kobietom przypada średnio 5-6 proc. nazw.

Od początku lat 90. regularnie odwiedzałam Włochy i często zastanawiałam się, gdzie są tamtejsze feministki. Nie, inaczej: dlaczego we Włoszech dyskurs patriarchalny... Nie, to też nie tak. Bez narażania się na zarzut chowania się za ideologicznym językiem:

dlatego we Włoszech kobiety są generalnie traktowane jak matki albo kochanki? Dlaczego młoda dziewczyna wciąż jest zaczepiana na ulicy (choć im wyżej na mapie kraju, tym rzadziej)? Dlaczego mało kogo oburza, że szef sypia ze swoją sekretarką?

Rondle jak bębni

Rok temu przez Neapol przeszło kilkadziesiąt tysięcy kobiet (100 tys. – twierdzą one; 40 tys. – twierdzi policja). Ze znakami zakazu noszenia burki i zakazu bunga-bunga, z pokrywkami, które zastępowały czyste, i z rondlami, na których grały jak na bębenkach. To była manifestacja zorganizowana przez związki zawodowe i centrolewicową

opozycję przeciwko rządowi Silvia Berlusconi, ale jednocześnie wielka manifestacja w obronie godności kobiet.

Przeciwko przedmiotowemu traktowaniu kobiet wzburzyły się również prawicowe wyborczynie, przedtem stanowiące najwierniejszy elektorat Berlusconi. Flavia Perina, redaktorka naczelna „Il Secolo d'Italia”, organu partii postfaszystowskiej, tłumaczyła dziennikarzowi „Guardiana”, że telewizyjny magnat był „przywódcą uwodzicielem, ale teraz ludzie zrozumieli, że to była tylko pusta galanteria”.

Silvio Berlusconi obudził śpiący włoski feminizm. Po uwadze premiera pod adresem opozycyjnej polityczki Rosy Bindi (która w odróżnieniu od deputowanych z jego ugrupowania nie wygląda jak seksbomba): „Jak zwykle u ciebie inteligencja i uroda nie idą w parze”, 98 tys. kobiet podpisało protest przeciwko takiemu zachowaniu szefa rządu.

To nie znaczy, że we Włoszech wcześniej nie było ruchu feministycznego. Był, w latach 70. Były też dwa referenda w sprawie aborcji, oba wygrane przez zwolenników, a zwłaszcza zwolenniczki liberalnych przepisów. To była historyczna porażka tak wpływowego we Włoszech Kościoła katolickiego. A jednocześnie były to czasy rządów koalicji chadecji i socjalistów, z których pierwsi stali na straży moralności i ganili panie chodzące do teatru ze zbyt dużym dekoltem, a drudzy słynęli z seksualnych przyjemności, jakie daje władza.

Ducha lat 80. złośliwie sportretowano w wyrażeniu „nani e ballerine” – karły i tancerki. Tak ówczesny minister finansów, zresztą też socjalista, nazwał dwór krążący wokół socjalistycznych kacyków. Gianni De Michelis, szef włoskiej dyplomacji, był głównie znany z tego, że na przyjęciach czy w nocnych klubach pojawiał się zawsze w towarzystwie dwóch pięknych i młodych kobiet. Nigdy jednej. A potem skandal korupcyjny początku lat 90. zmiotł wszystkich tych polityków, robiąc miejsce dla genialnego biznesmena z Mediolanu, cara komercyjnej telewizji Silvia Berlusconi.

Telemodelle kobiecości

Klimat kulturowy we Włoszech kreowały telewizje Berlusconi. Publiczna RAI próbowała za nimi nadążyć, poprzedzając transmisję z mistrzostw w piłce nożnej baletem z piłą w wykonaniu roznegliżowanej blondynki, która potem zasiadła wraz

z innymi komentatorami i całkiem profesjonalnie zabrała się do dyskusji o grze. To była Alba Parietti, właścicielka najwyższego IQ we włoskiej telewizji. Zresztą żaden program w prime time nie mógł obejść się bez tancerki. Berlusconi dobrze wiedział, czego chce widz – po całym dniu pracy pragnął sobie popatrzeć na piękne nogi. Widz był mężczyzną i trzymał pilota. Kobieta mogła sobie pilota potrzymać wcześniej, przy przygotowaniu kolacji albo prasowaniu. Wtedy leciały telenowele.

Przed Berlusconi o seksualnych ekscesach możliwych tego świata wiedziało się, ale nie mówiło. W erze Berlusconi, w stabilizowanej telewizji, mówiło się głównie o tym. W 1996 r. pewien prezenter, oskarżony o uwodzenie dziewcząt marzących o telewizyjnej karierze, postanowił się bronić przed zarzutem, że zmuszał je do seksu

” *Seksistowskie wypowiedzi Berlusconi obudziły uśpiony włoski feminizm. W Internecie pojawiło się miejsce na antypatriarchalny przekaz nieobecny w rządowych mediach*

analognego, publicznie tłumacząc, że natura zbyt hojnie go obdarzyła, żeby to w ogóle było możliwe...

Im Berlusconi był starszy, z tym większym zamiłowaniem przyjmował młodziutkie dziewczyny w swoich licznych rezydencjach. Najpierw media wywąchały, że pojawił się na 18. urodzinach Naomi Letizii, marzącej o karierze w show-biznesie neapolitanki. Potem otworzyła się puszka Pandory: z nieletnią marokańską prostytutką Ruby, którą z posterunku policji zaufana premiera wyciągnęła, tłumacząc, że jest ona siostrzenicą prezydenta Egiptu Hosniego Mubarak. Z Patrizią D'Addario, która spędziła noc z premierem i nagrała ich rozmowy, a potem skarżyła się biznesmenowi stręczycielowi, że Berlusconi nie zapłacił.

Aktorka Sandra Milo, znana z roli Carli, femme fatale z „Osium i pół” Felliniego, opisuje w swoich pamiętnikach pod wiele mówiącym tytułem „Amanti” pierwsze spotkanie z liderem socjalistów Bettinem Craxim,

które skończyło się na wersalce. Milo była, jak wiele kobiet, zafascynowana Craxim, a dzięki tej znajomości dostała dobrą pracę w telewizji. Silvio Berlusconi wykorzystywał te strategię pięknych kobiet do swoich celów, umieszczając je na listach wyborczych, żeby zbierały głosy jego ugrupowaniu. Bo jeśli tak dobrze sprzedawały się na małym ekranie, to czemu nie w polityce?

Na to wszystko było przyzwolenie, przez lata feministyczna perspektywa praktycznie nie była obecna w głównych mediach – jeśli nawet, to zepchnięta do kobiecych kącików. Dopiero rządowe bunga-bunga sprawiło, że na pierwsze strony gazet wpuszczono komentarki, które pisały, że to także wina ich, kobiet, przez lata pozwalających się traktować jak obiekty seksualne.

Nadchodzi nowa era

Gdyby nie nacisk Niemiec i Francji obawiających się o przyszłość strefy euro, Berlusconi prawdopodobnie rządziłby dalej. W końcu tak sobie wychował pokolenie Włochów. I Włozek. Ale kraj się zmienia, także dlatego, że telewizja jest gasnącym medium. Kończy się epoka, którą w Polsce nazwalibyśmy epoką „filmu o godz. 20”, a we Włoszech powinna się nazywać epoką „programu o 21”. Młodzi ludzie oprócz programu z tancerkami o 21 maja także Internet, a tam nie ma miejsca na jeden dominujący przekaz, tylko na wielobarwny strumień.

Tam również głos przeciwny uprzedmiotowieniu kobiet może być wyraźniejszy. W ostatnich miesiącach przed upadkiem Silvia Berlusconi wiele protestów przeciwko jego rządowi przypominało falę demonstracji w krajach arabskich: nie były zwoływane przez partie, nie miały dominujących liderów. Ich organizatorzy zwoływali się przez media społecznościowe. Gdy w listopadzie zeszłego roku premier dotarł do Pałacu Kwirynalskiego, by złożyć dymisję na ręce prezydenta Giorgia Napolitano, powołał go chór śpiewający „Alleluja” Haendla (a nie transparenty partyjnej opozycji).

W nowym rządzie ekspertów Mario Montiego kobiety – uznane ekspertki w swej dziedzinie – objęły najtrudniejsze resorty: spraw wewnętrznych, sprawiedliwości, pracy i polityki społecznej. Co prawda przytłoczona ciężarem odpowiedzialności minister pracy Elsa Fornero rozplakała się, prezentując plan wydłużenia wieku emerytalnego, ale to znak, że wreszcie jest normalnie. Kobiety płaczą, bo tak mają. A potem biorą się do roboty.



Jak to się robi we Wrocławiu

Dlaczego wychodzimy na ulicę?

Kaśka: Nie podoba nam się kierunek, w jakim zmierza polityka miejska. Uważamy, że wydatki i inwestycje czynione przez ekipę Dutkiewicza uderzają głównie w kobiety.

Jacek: Krótko mówiąc: „Nic o nas bez nas”. Miasto jest dla mieszkańców, nie dla wąskiej grupki polityków i biznesmenów.

Piotrek: Pokazujemy, że prawdziwa polityka jest właśnie na ulicy i jest robiona przez nas.

Gośka: Władze miasta nie wspierają kobiet samodzielnie wychowujących dzieci, brakuje miejsc w przedszkolach albo żłobkach. Nie widzą problemów rodziców, którzy muszą słono płacić za usługi opiekuńcze dla dzieci, osób korzystających z represyjnych MOPS. Nie dostrzegają wysokiego bezrobocia.

Marta 1: Miasto prowadzi od lat bardzo antyspołeczną politykę. Wiąże się to przede wszystkim z przerzucaniem kosztów edukacji czy opieki na mieszkańców, a zwłaszcza

Czy budżet ma płęć, a stadion to symbol męskiej władzy? I czemu polityka miejska uderza w kobiety? Opowiadają organizatorki i organizatorzy wrocławskiej Manify

na mieszkanki. Miasto zaciąga kredyty na wiele milionów złotych, a potem twierdzi, że trzeba ciąć wydatki budżetowe na podstawie rzeczy, które wpływają na jakość życia obywateli.

Zależy mi na tym, aby Manifa wróciła do swoich socjalnych i pracowniczych korzeni, aby nie tylko mówiła o kulturowej opresji kobiet, ale też o tej związanej z pracą, opieką,

bezpieczeństwem socjalnym, z codziennymi sprawami bytowymi.

Marta 1: Od kilku lat w naszym mieście rządzi ta sama ekipa. Wrocławscy politycy wysyłają w świat taki przekaz, że nie ma realnej politycznej alternatywy. Wrocław w poprzednich wyborach miał jedną z najniższych frekwencji w dużych miastach, to dowodzi, że ludzie nie wierzą w zmianę.

Piotrek: Media stoją po stronie władzy. Niech każdy, kto pyta, dlaczego to robimy, spróbuje wyjść na ulicę w jakimś proteście. Nie ma nic fajniejszego, niż przejść się ulicami własnego miasta, krzycząc, być razem z osobami podobnie myślącymi i czuć płynącą z tego siłę.

Jacek: Niech nas zobaczają!

Asia: „Grupa trzymająca władzę” jest oddalona od społeczeństwa – popatrzmy chociaż na radę programową Europejskiej Stolicy Kultury, która składa się z samych mężczyzn. Bez kobiet, ale też bez reprezentacji

osób, które działają w kulturze we Wrocławiu. Ignorują nas i nie wstydzą się tego.

Marta 1: Wrocław próbuje pokazywać się jako miasto sukcesu. A większość z nas pracuje na umowach śmieciowych, mieszkamy w wynajmowanych drogo mieszkaniach albo spłacamy obciążające kredyty, wiążąc się na całe życie z bankami. To jest związane z kontekstem globalnym, ale też z polityką miejską.

Asia: Mało kto z nas ma kredyt hipoteczny, bo mało kogo na niego stać. Oburzające jest to, że nie mamy możliwości dostania mieszkania komunalnego. Podstawowym prawem człowieka jest prawo do mieszkania.

Kaśka: Domagamy się realnych zmian w polityce miejskiej: wprowadzenia obowiązkowych konsultacji społecznych, budżetu partycypacyjnego, konsultowania takich pomysłów jak budowa stadionu czy fontanny. W planach jest stworzenie parku rozrywki, który przy realnych problemach mieszkańców jest absurdem.

Asia: Chcemy zmniejszenia wydatków na PR, zwiększenia wydatków na edukację, kulturę i politykę społeczną!

Marzena: Nie chcę myślenia o świecie jako podzielonym na dwie płcie, w którym kobietom można mniej płacić za tak samo wykonywaną pracę, gorzej je traktować. Nie chcę świata opartego na nierówności.

Czemu feministki zajmują się budżetem?

Marta 1: Zaskoczyła mnie opinia, że tegoroczna Manifa wrocławska jest mało feministyczna. Czy prawa socjalne, prawo do edukacji publicznej, do mieszkania, dobrej i taniej komunikacji miejskiej to tematy męskie? Czy budżet ma płęć?

Piotrek: Budżet ma płęć i to jest sprawa feministyczna. Na spotkaniu z rodzicami domagającymi się miejsc w publicznych przedszkolach ówczesny wiceprezydent Jarosław Obremski powiedział, że jeśli nie ma miejsc, to dziećmi powinny zająć się babcie. Taka jest perspektywa mężczyzny u władzy.

Inny przykład: moja mama pracuje w edukacji i w związku z polityką cięć budżetowych ma coraz więcej obowiązków. W tym roku powiedziała, że pójdzie ze mną na Manifę.

Asia: To kobiety poniosą największe koszty kryzysu ekonomicznego w tym mieście. Sektor publiczny jest sfeminizowany, to kobiety są pierwsze na liście do zwolnień.

Marta 1: W kraju trwa nagonka na Kartę nauczyciela. W oczach władz nauczycielki i nauczyciele tworzą dług publiczny oraz są obciążeniem dla miasta. Na tej Manifie wyrażymy solidarność z pracownikami sektora

publicznego. Cięcia w sektorze publicznym sprawiają, że praca opiekuńcza jest coraz bardziej spychana do sfery prywatnej, czyli na barki kobiet.

Marzena: Kobietom wmawia się, że powinny rodzic, bo nie będzie miał kto pracować na nasze emerytury. I zmusza się je do tego: brakuje edukacji seksualnej, taniej antykoncepcji, a niechcianej ciąży nie można usunąć. Nie ma jednocześnie czegoś takiego jak polityka prorodzinna.

Pieniądze na stadion, szkoły do kontenerów?

Gośka: Dlaczego zajmujemy się Euro 2012? Miasto wydało dużo pieniędzy na stadion, a są jeszcze ukryte koszty. Myślę o pracownikach budowlanych, którzy pracują za grosze w firmach podwykonawczych, często nie dostają pensji w terminie, a główny inwestor umywa ręce. W całej Polsce przy budowie stadionów już cztery osoby straciły życie. To pokazuje, jaką wartość ma życie w kapitalizmie.

Asia: Podczas igrzysk będzie jak zwykle kwitł seksbiznes. Jego pracownice nie mają żadnej prawnej ochrony, a zyski z ich pracy czerpią głównie zorganizowane grupy handlujące kobietami. Euro 2012 jak w soczewce skupia problemy istniejące w polityce miejskiej. Nasze prawa obywatelskie zostaną zawieszane. Podczas Euro wzrosną kontrole graniczne, zwiększy się liczba służb mundurowych, zaostry się nadzór nad społeczeństwem.

Piotrek: Na stadionie wybudowanym na Euro rozegra się tylko kilka meczów. Władze chwaliły się, że dostaną na poprawę stanu komunikacji miejskiej 7 mln zł z podwyżek cen biletów, więc pytam, czym jest 7 mln przy miliardzie wydanym na stadion?

Marta 2: UEFA zarobi na igrzyskach około półtora miliarda euro, a nie jest w stanie wydać ani grosza, by zapłacić wolontariuszom, którzy będą pracować przy organizacji imprezy. W większości bardzo młodym kobietom, które nawet nie zobaczą meczu.

Kaśka: Trzeba dodać, że UEFA jest zwolniona z płacenia podatków w Polsce.

Jacek: Stadion stał się symbolem, wokół którego się zjednoczyliśmy, bo jest to wybitnie męska zabawka. Z jednej strony mamy zatem ukrytą i nieodpłatną pracę kobiet, a z drugiej – facetów w garniturach, którzy fundują sobie bardzo drogą imprezę, służącą głównie ich własnej rozrywce.

Marta 1: Miasto wydaje prawie miliard złotych na stadion, a jednocześnie proponuje

budowanie szkół i przedszkoli kontenerowych. Idzie wyżej demograficzny i za chwilę zabraknie miejsc w szkołach, w przedszkolach już brakuje. I co na to Wydział Edukacji? Będziemy budować kontenery, ponieważ nie stać nas na wybudowanie porządnego budynku i utrzymanie go.

Piotrek: Ludzie, nie wiercie propagandzie! We Wrocławiu naprawdę źle się mieszka, to nie jest „miasto spotkań”.

Dlaczego robimy wywiad sami ze sobą?

Piotrek: Porozmawiamy jeszcze o jednej ważnej kwestii, o tym, kim jesteśmy jako Inicjatywa 8 Marca, działająca na zasadach demokracji oddolnej. Nie tylko to, co robimy, jest ważne, ale też sposób, w jaki to robimy.

Asia: Jeśli żądamy realnych konsultacji społecznych, to musimy w ten sam sposób się organizować.

Kaśka: Nawet forma tego wywiadu jest przykładem tego, jak działamy i kim jesteśmy. Robimy wywiad sami ze sobą. Nie mamy szefów, każdy głos jest ważny.

Marta 1: Wywodzimy się z różnych środowisk politycznych, różnie się identyfikujemy. Taka różnorodność jest jednak wyzwaniem dla grupy niehierarchicznej.

Jacek: Spotykamy się tutaj nie tylko dla zorganizowania Manify, ale zaczynamy tworzyć grupę, w której powstają silne więzi. Mam nadzieję, że będą one podstawą dalszych działań. Walka o prawa socjalne i prawa kobiet nie kończy się na Manifie.

Gośka: W tej grupie mamy okazję uczyć się, w jaki sposób razem budować ruch społeczny. Nie jesteśmy w Polsce uczeni wspólnego działania. Dzieciaki w przedszkolach mają przedsiębiorczość i zarządzanie. Nie uczy się solidarności, współodpowiedzialności, współodczuwania. Stawia się na konkurencję i egoistyczny indywidualizm. My słuchamy się nawzajem.

Piotrek: Naszym celem jest też to, aby nie ograniczyć się do własnej grupy, ale zarażać takim sposobem działania. Budowanie demokracji bezpośredniej to długi i trudny proces.

Gośka: Jedną z najtrudniejszych rzeczy w budowaniu demokracji bezpośredniej jest branie odpowiedzialności za działania.

Jacek: Do Manify zostało niewiele czasu, a nie mamy większych opóźnień, więc da się to zrobić. Ważne jest, że grupa jest otwarta. Każdy może przyjść na spotkanie, wypowiedzieć się, włączyć się w nasze działania.

Wszyscy: Jeśli jesteście z nami, to wyjdźcie z nami na ulicę 11 marca.

Librus – narzędzie politycznej poprawy



HANNA GILL-PIĄTEK

Autorka felietonu jest koordynatorką świetlicy Krytyki Politycznej w Łodzi

Siedzę na szkolnym korytarzu i czekam grzecznie w kolejce. Dziś konsultacje z nauczycielami w liceum mojego syna. Atmosfera jakby bardziej wyluzowana: wiadomo już, które szkoły zostaną zamknięte (ta nie) i że po reformie podstawy programowej o całości etatu nie musi się martwić jedynie ksiądz. Drastycznie zmniejsza się wymiar godzin dla prawie wszystkich przedmiotów, ale dwie lekcje religii w tygodniu pozostają nietknięte. Akurat Martyn, mój syn, na katechezę nie uczęszcza, co w Łodzi nie jest specjalnym problemem. Dużo gorzej było w konserwatywnej Warszawie, zwłaszcza kiedy jego wychowawczynią została żona radnego z LPR. Na szczęście to stare czasy, dzieciak już dawno przestał budzić się wystraszony snem o Krzyka-czu, złym pokemonie w sutannie.

Ciekawe, co śni się teraz po nocach ministrom: ja mam przecież tylko wywiadówkę, oni mają studniówkę. I nie jest to dla nich wesoła licealna impreza rozpoczęta polonezem. Studniówka to dla premiera dobra okazja do prezentacji własnego programu artystycznego: wzywa się na dywanik parami ministrów, zaczynając od głaskania najlepszych (MSZ i finanse), kończąc na tych, którym trzeba pogrozić palcem przed kamerami. Oczywiście w każdym przedstawieniu musi być jakiś czarny charakter. Żadne zaskoczenie, że oberwało się rządowym zderzakom: zdrowie i sport to obecnie dwa duże ogniska

społecznego niezadowolenia. Cały ten spektakl odgrywany jest z taką powagą, jakby jeszcze ktoś wierzył, że od ministrów cokolwiek zależy. Jakby nie było jasne, że rząd Donalda Tuska to Donald Tusk. I kropka.

Myszę, że trudno w obecnych czasach być ministrem. Im bliżej Euro 2012, tym trudniej. Widziałam ostatnio jednego ministra. Był nerwowy i ciągle sprawdzał coś w telefonie. Podejrzewam najgorsze: aby sytuacja na dywaniku była jasna, premier wprowadził dla rządu elektroniczny system wystawiania ocen. Podobny funkcjonuje dzisiaj w prawie każdej szkole, najczęściej nazywa się Librus. W założeniu jest to niewinne narzędzie totalnej kontroli nad uczniem. Rodzic nie musi już zaglądać do zeszytu czy papierowego dzienniczka, wystarczy zalogować się na stronie i od razu bezlitośnie wychodzą na światło dzienne wszystkie pały, nieobecności, wszystkie nieprzygotowania spowodowane namiętnością do „Minerafta” czy „World of Warcraft”. Librus oprócz tej cennej funkcji inwigilacyjnej posiada również umiejętność liczenia średniej z ocen. Dzięki temu z beznamiętnego narzędzia szybko awansował do rangi wyroczni w procesie edukacji. Teraz na wywiadówce można usłyszeć, że końcowa ocena „wychodzi z Librusa”. Nie liczą się indywidualne postępy w nauce, a nauczyciel spragniony obiektywnej słuszności chętnie chowa się za algorytmem.

„Panie Bartku, pani Joanno. Widzicie, co mi z tego Librusa tu wychodzi. Wyraźnie mi wyliczył, że się nie staracie. Pała za refundację, pała za stadion. Średnia studniówkowa zdecydowanie pokazuje, że zaraz nie zdacie do następnej klasy. Że to niby moje pomysły? Może i moje, ale wasza praca domowa. Jak zadaje temat o wzrastającym poparciu rządu, to mi nie możecie przynosić rozprawki o spadku w sondażach”. Ciekawe, czy tak się to właśnie odbyło. Czekam ciągle na szkolnym korytarzu i nagle doznaję olśnienia. A gdyby tak zhakować rządowy elektroniczny dzienniczek? Gdyby móc

trochę tam pozmienić? Za udział w zbrojnej interwencji – pała. Za wzrastającą liczbę przedszkoli – piątka. Za brak konsultacji społecznych – jedynka, za przyjęcie Konwencji Rady Europy o zwalczaniu przemocy wobec kobiet i przemocy domowej – szóstka! Brak zaangażowania w zakresie ochrony praw lokatorskich skutkowałby nieusprawiedliwioną nieobecnością. Modernizacja kolei mnożyłaby plusek za aktywność. Wzrastające rozwarstwienie automatycznie generowałoby naganne oceny z zachowania. A elektroniczny kajet ministra środowiska zakwitłby od uwag za atom i gaz łupkowy.

Zanim ktokolwiek połałaby się przed następnym rytualnym wzywaniem na dywanik, rząd nerwowo śledzący w smartfonach swoje postępy być może wreszcie zmieniłby obuwie. Z piłkarskich korków, które nie tylko niszczą podłogę w sali gimnastycznej, ale i grożą ogólnonarodową plajtą stolówki, ministrowie szybko przeskoczyliby w skromne tenisówki i udali się do pracowni polityki społecznej. W sumie w rządowym Librusie można by dodać jeszcze jedną rubrykę: dla premiera. „Panie Donaldzie, sam pan widzi, tu wychodzi czarno na białym, że chyba w tym roku ciężko będzie zaliczeniem. W zakładce »ogłoszenia« dawno już były wyniki badań, że te cztery panie w rządzie to stanowczo za mało, żebyśmy zaczęli choć trochę myśleć inaczej. Nie sprawdzał pan? O, tu ma pan twarde dane, że promocja do następnej klasy uzależniona jest od tego, czy na czele rządu stanie kobieta. Może pan coś z tym na szybko zrobić?”

Ha, naprawdę fajny pomysł. Tyle że mnie, skromnej lamerce czekającej w korytarzu na lepsze czasy razem z 38 mln Polek i Polaków, na pewno nie uda się włamać do rządowego dziennika. Ale może spróbuje ktoś inny. Kochani Anonymous, dajcie radę z ACTA, dacie i z Librusem. Śmiało, do roboty. Pomóżcie nam. Coś się wreszcie powinno zmienić w smartfonach ministrów. Bo tego się już po prostu nie da wytrzymać.

Specjaliści od nicości



TOMASZ PIĄTEK

Autor felietonu jest pisarzem

Do niedawna papuga Zebek żywiła się wyłącznie karteczkami z napisem: „Jestem winny”. Teraz zaczęła spożywać karteczki z napisem: „Jestem inny” i żądnych innych niż „Jestem inny” nie chce. Ktoś (ktoś inny) mógłby pomyśleć, że w Zebku zachodzą potężne świadomościowe zmiany. Ktoś inny, ale nie ja.

Jazorientowałem się od razu, że Zebek po prostu zaczął zjadać słowa. Nie w tym sensie, że zaczął zjadać słowa zapisane na karteczkach, bo to robi od dawna. W tym sensie, że zaczął zjadać poszczególne litery w słowach, które zjada. Na początek zjadł „w” w słowie „winny”. Dlaczego? Odpowiedź jest prosta: Zebek chce stopniowo zredukować słowa do zera, tak aby zapanowała lingwistyczna nicość – a to, że w trakcie tego procesu może poczuć się inny, zamiast czuć się winnym, jest przyjemnym efektem ubocznym.

Zebek po prostu chce zostać specjalistą od nicości. To ostatnio jedno z najbardziej lukratywnych stanowisk. I nic dziwnego, że tak powiem. Nic dziwnego, że nic jest coraz bardziej lukratywne, skoro jest coraz szerzej obecne. Na przykład dają nam nic kultury. A zamiast trawników nic zielonego. I jeszcze mówią, że to nic takiego. Tu nic mądrego, tam nic śmiesznego, więc nic dziwnego też nie powinno nas dziwić.

Na przykład nie powinno nas dziwić, że w Poznaniu powstała z niczego spółka Euro 2012, a Poznańskie Ośrodki Sportu i Rekreacji

zleciły jej budowę stadionu miejskiego. Na mistrzostwa Euro 2012, oczywiście, bo jeśli w Polsce zamiast niczego robi się coś, to w związku z Euro 2012. Takie Euro 2012 to jest coś. Ale nie dajmy się zwieść pozorom. Spółka Euro 2012, mimo że ma to coś w nazwie, w swej działalności zajęła się niczym. Postawiła sobie słynne pytanie Leibniza: „Dlaczego raczej jest coś niż nic?”, a potem je kreatywnie odwróciła: „Dlaczego miałoby być coś, kiedy może być nic?”. Do tej pory kreatywność oznaczała robienie czegoś z niczego. Spółka Euro 2012 kreatywnie zmieniła sens pojęcia kreatywności, kreatywnie robiąc nic z czegoś.

Dokładnie rzecz biorąc, Poznańskie Ośrodki Sportu i Rekreacji przekazały spółce Euro 2012 budżet na budowę stadionu (450 mln zł) oraz wynagrodzenie za prowadzenie tej budowy (11 mln zł). Co następnie się działo? Coś dziwnego. Po zleceniu spółce prowadzenia budowy stadionu Poznańskie Ośrodki Sportu i Rekreacji nadal prowadziły tę budowę. To one są zleceniodawcą prac budowlanych, elektrycznych, montażu masztów dla kamer telewizyjnych, zakupu mebli.

Co w tym czasie robiła spółka Euro 2012? Zajął się najszybciej i najowocniej rosnącym sektorem naszej gospodarki, czyli niczym. Robiła przeważnie nic z niczego. Ale także nic z czegoś, a dokładnie z przekazanych jej jedenaście milionów, które kiedyś istniały, a teraz zostało po nich gołe nic. Podobno w większości zostały wypłacone w formie pensji, premii i honorariów specjalistom pracującym w spółce Euro 2012.

Co robili ci specjaliści? Coś innego. Coś innego niż budowa stadionu, bo tę prowadziły Poznańskie Ośrodki Sportu i Rekreacji. Wszystko wskazuje na to, że tym czymś innym było nic.

Powiedzmy sobie jednak, że spółka Euro 2012 zatrzymała się w pół drogi. Pełen sukces osiągnęłaby wtedy, gdyby zamiast stadionu miejskiego powstało nic. Co prawda pewnym usprawiedliwieniem jest to, że stadion nie przyda się nam na nic. Budowanie nikomu i niczemu niepotrzebnych stadionów w Pol-

sce jest wyrafinowanym sposobem tworzenia nicości. Ale mimo to spółka powinna była pójść dalej. Powinna była wziąć przykład z ministra kultury, który dba o to, żeby nic nie zostało z bibliotek.

– Nie będzie niczego, Zebku! – zwróciłem się do papugi. – Czy ty też uważasz, że Kononowicz był klasycznym symulakrycznym fenomenem, takim jak Disneyland? Istnienie superplastikowego Disneylandu wewnątrz plastikowej Ameryki ma odwrócić uwagę od tego, że Ameryka cała jest plastikowa. Pojawienie się ludowego polityka nicości. Wyśmiano go, ale był to śmiech nieszczerzy i złowroźny.

Zebek podrapał się szponem w głowę i powiedział: – Prowadzony przez specjalistów nasłuch ultradźwięków wykazał, że jeśli osobnik odmawiający modlitwę „Zdrowaś Mario” zostanie rozerwany granatem, poszczególne części jego ciała po rozerwaniu nadal się modlą i w polu ich rozrzutu tworzy się specjalna strefa modlitewna, która z łatwością może zostać przetworzona w specjalną strefę ekonomiczną z pożytkiem dla lokalnej gospodarki oraz inwestorów.



rys. Paweł Hajncej/TEKTURKÓWO

Dorożka przywozi ją na lotnisko, w białym kostiumie, kapelusiku, opaloną. W tej scenie jest piękna, piękniejsza niż naprawdę. Dzieci otoczyły wóz, krzyczą jedno przez drugie: „Panna Stefa! Panna Stefa wróciła”. – „Od dziś proszę mi mówić »pani«. Kobieta z taką liczbą dzieci nie może być panną”. Rozdaje im pomarańcze.

Scena druga. Doktor patrzy na nią z niepokojem, może wyrzutem. „Nie mogłam tam zostać. Co noc śniły mi się nasze dzieci”.

Scena trzecia, już w getcie. Ta sama kobieta powtarza: „Co się z nami stanie?”. Opiera głowę na ramieniu lysego mężczyzny. Szlocha. W tę trzecią najtrudniej uwierzyć.

Stefania Wilczyńska – jeśli płakała – to w nocy, kiedy wszystkie dzieci w Domu Sierot już spały. Nie żaliła się, więc ta głowa na ramieniu Korczaka też nie pasuje. Ale w filmie Wajdy istnieje tak, jak istnieje dziś – w trzecim planie, w cieniu Starego Doktora.

Prawo do słabości

Panna ze zasymilowanego, zamożnego domu. Jedna z najlepszych warszawskich pensji, potem nauki przyrodnicze na uniwersytetach w Liege i Genewie. Emancypantka. Nie wiadomo, dlaczego nie skończyła studiów ani dlaczego po powrocie do Polski zgłasza się do pracy w przytułku dla żydowskich dzieci organizowanym przez towarzystwo Pomoc dla Sierot. Przez – a może dla – pana Korczaka. Bo całe życie mówili do siebie „pan” – „pani”. On o niej w pamiętnikach wspomina rzadko, oszczędnie, bez czułości. Ale to do niej przychodził z nowymi pomysłami i z wątpliwościami.

Kiedy równo sto lat temu razem zakładali przy Krochmalnej Dom Sierot, Wilczyńska

nadrabiała miną. Ponad 80 dzieci pod opieką – po latach napisze do przyjaciółki, że nie miała wtedy pojęcia o zadaniu, na które się porwała. Wyprowadza się z rodzinnego domu, pracuje bez wynagrodzenia. Zajmuje jeden z pokoiów w sierocińcu, bez wygod. Niewielki stolik ma zawsze zawalony papierami, krzesła sukniami i fartuchami. Podopieczna, która

Korczak była kobietą

Podopieczna znalazła kiedyś w szafie Stefani Wilczyńskiej kartkę z instrukcją: „Po mojej śmierci proszę ciało oddać do prosektorium i żeby dzieci nie przerywały nauki”

MAGDALENA KICIŃSKA



Stefania Wilczyńska (na prawo od Janusza Korczaka) wśród wychowanków. Dom Sierot, ul. Krochmalna 92, Warszawa 1923

sprzątała jej pokój, znalazła kiedyś w szafie kartkę z instrukcją: „Po mojej śmierci proszę ciało oddać do prosektorium i żeby dzieci nie przerywały nauki”.

Opanowana, skupiona na pracy. Naczelną wychowawczyni, prawa ręka Starego Doktora. „Przez cały czas, przed wojną i podczas wojny, Korczak pracował razem z panią Stefanią

Wilczyńską. Współpracowali ze sobą przez całe życie. (...) Wszystko, co jest związane z osobą Korczaka – internat, propagowanie miłości do dzieci – wszystko jest wspólnym dorobkiem obojga. Trudno określić, gdzie zaczyna się Korczak, a gdzie kończy Wilczyńska” – notował Emanuel Ringelblum.

„Dom Sierot nie był, nie jest, nie będzie Domem Sierot Korczaka” – to Korczak.

„Prawa ręka”, „niestrudzona”, „najwierniejsza współpracownica” – to ci, którzy ich znali.

Sama napisze: „Ja nie umiem ani ładnie mówić, ani dużo pisać. Potrafię tylko pracować, i to powoli, ostrożnie...”.

Współtworzy to, co dziś nazywa się czasem „systemem korczakowskim”. Wychowanie oparte na przekonaniu, że mały człowiek jest ważny. Że jest indywidualny w swoich potrzebach. Że trzeba szanować jego prywatność. Jeden z byłych wychowanków wspominał, że jako dziecko lubił rysować: „Pewnego dnia Pani Stefa mówi do mnie: »Tu w kancelarii wisi klucz od sklepiku. Gdy zechcesz rysować, możesz wziąć klucz i tam sobie siedzieć, ile chcesz«. (...) Ani pani Stefa, ani Pan Doktor nigdy nie prosili, bym pokazał rysunek. Wiem,

że gdyby to zrobili, przestałbym korzystać z pokoiku, a tak rozkoszowałem się samotnością i ukochanym zajęciem”.

Wilczyńska i Korczak wiedzieli, że mali ludzie mają godność, prawo do słabości, do strachu. I że dzieci potrafią być odpowiedzialne, jeżeli się im zaufa. Dlatego praca, za którą otrzymywały drobne wynagrodzenie, stanowiła ważny element wychowania.

To Wilczyńska wprowadziła grafik, żeby każde dziecko wiedziało, co i kiedy, jeśli w ciągu dnia zdarzy się zapomnieć. Podział zadań był sprawiedliwy: raz ktoś dostał milsze zaję-

cie, raz gorsze, raz wieczorem, raz w zimie. I, jak pisze jedna z wychowanek, nikogo nie dziwiło, kiedy dziewczynka kierowała pracą chłopców. Starsze dzieci były opiekunami młodszych. Była tablica ogłoszeń, skrzynka na listy, można do niej było wrzucać karteczkę z przeprosinami, wyjaśnieniem, prośbą. Była szafka rzeczy znalezionych. Półka

rzeczy wspólnych. Były sąd koleżeński i dziecięcy sejm.

Joanna Olczak-Ronikier pisze, że do Domu Sierot trafiały dzieci z biednych, żydowskich enklaw, mówiące i żyjące „po żydowsku”. Korczak i Wilczyńska wychowani byli w kulturze polskiej, nie znali hebrajskiego ani jidysz. Budowali Dom, a w tle antysemicka nagonka kazała wybierać: jesteś Żydem albo Polakiem. Olczak-Ronikier: „Korczak nie uciekał od swojej żydowskości w komunizm ani w polskość”.

Razem z Wilczyńską prowadzili Dom w oparciu o uniwersalne zasady: równość, samorządność i sprawiedliwość. Uczono hebrajskiego, ale nie religii. Wilczyńska i Korczak pozwalali samym dzieciom dochodzić do tego, kim są.

Wojna, grzybek, a ja sama

Kiedy wybucha pierwsza wojna, Korczaka powołują do wojska, ona – 28-letnia – przejmuje kierownictwo nad sierocińcem. W liście do przyjaciółki napisze krótko: „Ciężkie lata: wojna, głód, Niemcy, tyfus, świerzb, grzybek, a ja sama”. I jeszcze, że Bóg pomógł jej nie rzucić obowiązków. Doktora pociesza, że nad wszystkim panuje. Po wojnie dostaje „Króla Maciusia” z dedykacją: „Pannie Stefie – chłopiec nr 51 – grzybka nie ma – metrykę zgubił w Kraju Bum-Druma prosi o dyżur zbierania papierków – czysty (niech Pan Bóg bronii). Stały mieszek. Warszawy – Goldszmit”.

Dla dzieci wymagająca, bez szczebiotania, ale zawsze znalazła czas, żeby wytrzeć zapłakaną twarz i wysłuchać. Pracuje jako opiekunka, pedagogka, zarządczyni, administratora, intendentka, ale i sekretarka Doktora. Kiedy ma wolną chwilę, wyrusza w poszukiwaniu kamizelki (dla niego) i choć w sklepach brak, bo już niemożliwe, wyciągnie ją gdzieś spod ziemi.

Wieczorem obchód między łózkami podopiecznych i wewnętrzny przykaz: pamiętać o tym, co które dziś zrobiło, odłożyć znalezione zgubę – ulubioną piłkę do ping-ponga, zobaczyć, czy skłócone pogodziły się przed snem.

Zastępuje Korczaka znowu, kiedy ten bierze udział w kolejnej wojnie. Dom Sierot rozrasta się o lotnisko i bursę dla wychowanków powyżej 14 lat. Ida Merżan, jedna z mieszkanki, napisze, że dom był pełen panny Stefy. Że nigdy nie przerywała pracy („grypa na chodząco, zapalenie ucha na chodząco”). Że była uważna na każde dziecko. Wstawiała, by przykryć te, które się w nocy odkryły, wysadzić te, które się moczyły, i posłuchać, o czym krzyczą przez sen. O dorosłych wychowankach myśli jak o przybranej rodzinie. Notuje, kto wziął ślub, która to już „wnuczka”

jej się urodziła. Kiedy żegna opuszczających internat, mówi im: „Być może – do zobaczenia”.

Niektóre dzieci na początku się jej boją (jeden z wychowanków wspomina, jak poskromiła go w ułamku sekundy ta starsza, zgarbiona pani w czarnej sukni, czarnych pończochach i pelerynie). Bo Wilczyńska potrafi surowo ocenić. Także samą siebie. Napisze później, że „schamiała takim koszarowym życiem”.

Coraz częściej wątpi w metody pracy z dziećmi. Swoje i Korczaka. Coraz wyraźniej widzi błędy, które popełniali. Zgadza się z zarzutami części byłych wychowanków, że wypuszczają z Korczakiem w świat zupełnie nieprzygotowanych do życia ludzi. Że za dużo tej utopii w wychowaniu, mówienia o nowym, sprawiedliwym świecie.

Za młoda na starców

Ma 45 lat i stoi na pokładzie okrętu w Trieście. Jest 1931 r., zaraz odpłynie do Palestyny. W kibucu Ein Harod spędza kilka tygodni, zwiedza, wszystko zapisuje i śle do Warszawy. Po powrocie z zalem zauważa, że Dom Sierot – bez niej – funkcjonuje tak samo jak z nią. Pisze do przyjaciółki: „Nie wiedziałam, że przez dwa miesiące można się oddalić od tego, co było przez tyle lat treścią życia”.

W Polsce narasta bieda (więc przybywa im wychowanków), kryzys (więc trudniej ich utrzymać), antysemityzm (więc trudniej wytrzymać oskarżenia o „zażydzenie”).

Tęskni za kibucem, za Palestyną. Nie powie – jak Korczak – że syjonizm to kres diaspory. Szuka po prostu miejsca, w którym będzie potrzebna. Przyjaciółce pisze: „Może do Rosji, może do jakiegoś szpitala. Byleby nie w sierocińcu, tak beznadziejnie bez przyszłości. Jeszcze za młoda do domu starców”. Pomaga zorganizować podróż do Palestyny panu Doktorowi.

Sama wyjeżdża jeszcze w latach 1934 i 1935. Znowu śle listy do dzieci. Drukuje je „Mały Przegląd”, pismo wydawane w Domu Sierot przez jego wychowanków. Wilczyńska pisze dzieciom o pomarańczach (a więc kadr z filmu mógł być prawdziwy) i winogronach po groszu zamiast kartofli. O dziwnym kraju z ludźmi o wszystkich kolorach skóry. O kotlecikach z fasoli i warzyw, których – chociaż jest jaroszką – jeszcze nie polubiła. O błocie, które wygrywa nawet z gołdawskim. O krowach – że są złościami, żarłokami i brudasy. O życiu w kibucu i wartości pracy. O dzieciach stąd – dzieciom stamtąd.

W 1936 r. wraca do Polski. Rok później uświadamia sobie, że „organizacje zastępują ludzi”. Odchodzi z sierocińca.

Zacznie pracować dla Centosu, dużej żydowskiej organizacji pomagającej dzieciom. Z przysłanej od palestyńskich przyjaciół książki uczy się hebrajskiego. Po 25 latach wyprowadza się z Domu. Mieszka na Woli („Zasmakowałam w moim skromnym, cichym, słonecznym pokoju. Nareszcie mogę być sama, kiedy chcę. Nikt do mnie nie puka, nie przychodzi, kiedy chce. Nie muszę wciąż radzić, telefonować, odpowiadać na pytania”).

Nie na długo, bo po roku otrzymuje zgodę na pobyt stały w Palestynie. Wyjeżdża w marcu 1938 r., chociaż Doktor powtarza, że powinna wrócić. Jedzie do Ein Harod. I znowu pisze stamtąd do dzieci.

Do końca

I to stamtąd wraca, pewnie opalona, więc również tu kadr mógł być prawdziwy, w maju 1939 r. „Moje dzieci są w Warszawie. Tam jest moje miejsce”.

We wrześniu opatrują z Doktorem rannych, latem 1940 r. organizują ostatnie lotnisko. Mają wtedy ponad 300 wychowanków. Odmawia, kiedy przez Czerwony Krzyż przyjaciółka chce ściągnąć ją do Palestyny. Odrzuci kolejne prośby, by razem z Korczakiem przeszli na aryjską stronę, błagania rodziny, żeby się ratowała.

Będzie czuwała, żeby życie w Domu toczyło się dawnym rytmem. Jeszcze w getcie działają sąd koleżeński, dom lalek, tajna szkoła.

Razem z Korczakiem i innymi wychowawcami będzie z dziećmi do sierpnia 1942 r. Rano 5 lub 6 razem z 200 podopiecznymi przejdzie Sienną, Karmelicką i Stawki, zanim wsiądą do wagonów czekających na Umschlagplatzu.

Podobno był upał. Podobno szli dwójkami albo czwórkami. Ze sztandarem „Króla Maciusia”, w odświętnych strojach, które podobno kazała przyszykować. Podobno śpiewały chórem. Podobno uśmiechnięte. Podobno Wilczyńska pamiętała, żeby na drogę zrobić kanapki, nalać do butelek wodę.

Albo to mogło wyglądać zupełnie inaczej: bez porządku, szybko, z ujadaniem psów w tle. Bez tych kanapek pani Stefy.

Uczynimy 8 marca Dniem Wilczyńskiej!

Fundacja im. prof. Mojżesza Schorra namawia, by tegoroczny Dzień Kobiet zadedykować Stefani Wilczyńskiej – w stulecie założenia przez nią i Janusza Korczaka Domu Sierot i w siedemdziesiątą rocznicę jego zagłady. Fundacja zaprasza na spotkanie poświęcone Wilczyńskiej, 5 marca w Synagodzie im. Nożyków w Warszawie (godz. 18.30). Namawia także do polubienia facebookowej strony „Kochana Pani Stefa”.

Wikiseksizm

Największe źródło wiedzy w Internecie jest tworzone i redagowane przez mężczyzn. Dlatego opisuje tylko połowę rzeczywistości

ANNA DRYJAŃSKA

Czy możesz sobie wyobrazić świat bez Wikipedii? Gdy 18 stycznia jej angielskojęzyczna wersja zniknęła na dobę z sieci, 25 mln internautów na co dzień korzystających z Wikipedii zostało bez tego podstawowego dla nich źródła wiedzy. Choć to wygaszenie internetowej encyklopedii było protestem przeciwko SOPA i PIPA (amerykańskich odpowiedników ACTA), a sama akcja była zapowiadana wcześniej, setki tysięcy internatek i internautów było wściekłych, bo nie mogło sprawnie dokończyć prac domowych, referatów na studia czy skompletować niezbędnych informacji do pracy. Trudno im było sobie wyobrazić dalsze życie bez Wikipedii. Ale Wikipedii

bez kobiet nikt nie musi sobie dziś wyobrażać. Prawie ich tam nie ma.

Jimmy Wales, założyciel portalu, przekonywał kiedyś: „Wyobraźmy sobie świat, w którym każdy człowiek ma dostęp do sumy ludzkiej wiedzy”. Problem w tym, że wiedza zawarta w Wikipedii nie jest ludzka, lecz męska – odzwierciedla męskie zainteresowania, męskie priorytety i męski punkt widzenia.

Encykloped

Wikipedia to efekt zbiorowej pracy internautów. Ktoś tworzy nowe hasła, ktoś poprawia literówkę, jeszcze ktoś inny dodaje zdjęcia. O tym często nie pamiętają osoby biernie korzystające z Wikipedii, czytelniczki i czytelnicy, którzy mają skłonność do przypisywania

jej wszechwiedzy, pokładania bezkrytycznego zaufania w prawdziwość opublikowanych w niej treści. Tymczasem internetowa encyklopedia jest tworzona przez zwykłych ludzi, w większości amatorów. Edytorzy Wikipedii starają się, by hasła były rzetelne, oparte na weryfikowalnych źródłach i by miały neutralny wydźwięk światopoglądowy. Nie zawsze jednak się to udaje. Wystarczy zajrzeć w kartę „dyskusja”, dołączoną na górze każdego wikipedijnego hasła, by często zobaczyć tam dialog, spór, a nawet edycyjną wojnę, które toczą się za kulisami encyklopedii.

Najważniejszą konsekwencją tych wojen jest brak kobiet edytorek Wikipedii, czyli internatek tworzących i modyfikujących hasła. Badanie przeprowadzone przez Wikipedię w 2011 r. pokazało, że kobiety

stanowią zaledwie 9 proc. wśród osób tworzących encyklopedię. Dlaczego tak mało kobiet dołącza do społeczności wikipedystów? I jak ta dramatyczna dysproporcja płci wśród edytujących przekłada się na jakość tej encyklopedii?

Według raportu o doświadczeniach wikipedystek, które w 2011 r. przeprowadziła Sarah Stierch, aż 27 proc. kobiet edytujących Wikipedię jest zniechęconych kłótniową i konfrontacyjną atmosferą wśród edytorów. Niemal jedna na pięć kobiet (18 proc.) miała na tyle negatywne doświadczenia w kontaktach z edytorami mężczyznami, że nie chce się już angażować w tworzenie portalu. 12 proc. respondentek nie uważa się za wystarczająco kompetentne, by modyfikować hasła. Jedna na dziesięć kobiet wycofuje się z tworzenia Wikipedii z powodu ciągłego kasowania ich zmian przez innych edytorów.

„Nasza wikipedyczna lista dyskusyjna to koszmar. Ludzie są agresywni, pogardliwi, złośliwi” – opisuje w raporcie jedna z edytorek. „Nie mam nic przeciwko wskazaniu mi błędu. Nie podoba mi się jednak to, że jestem obrażana”.

Inna edytorka z kolei twierdzi, że „aby edytować Wikipedię, musisz przygotować się na cały ten syf, który będzie kierowany pod twoim adresem”. Badania wykazały, że kobiety najczęściej są atakowane przez edytorów takimi epitetami jak „suka”, „cipa”, „wiedźma”, „Żydówka” i „nazistka”.

Duży Korczak i mała Wilczyńska

Efekt? Dla przykładu można porównać długość hasła dotyczącego filmu „Ojciec chrzestny” i krótkość hasła filmu „Thelma i Louise”. Sceny gwałtu nierzadko są określane jako „sceny miłosne” lub „sceny uwiedzenia”. Edytorki zmieniające w tym kontekście słowo „seks” na „gwałt” spotykają się z kasowaniem zmian, gdyż słowo „gwałt”, zdaniem edytorów, nie jest neutralne światopoglądowo. Warto także sprawdzić, jak szczegółowo jest opisany Janusz Korczak, a jak pobieżnie Stefania Wilczyńska – on był wychowawcą, a ona wychowawczynią w Domu Sierot dla dzieci żydowskich w Warszawie i oboje zginęli z podopiecznymi w Treblince. On ma hasło na 30 akapitów, a ona tylko na pięć.

Według edytorów polskojęzycznej Wikipedii Stefania Wilczyńska nie była jednak

wychowawczynią, lecz „wychowawcą”, podobnie jak Wisława Szymborska nie była „członkinią założycielką” i „tłumaczką”, lecz „członkiem założycielem” i „tłumaczem”. Maria Skłodowska-Curie nie była fizyczką i chemiczką, lecz „fizykiem” i „chemikiem”. W polskojęzycznej wersji Wikipedii żeńskie końcówki są bowiem na cenzurowanym, a konserwatywny językowy uważany jest przez wielu edytorów za neutralny światopoglądowo. O ile kobieta powstać, której dotyczy hasło, nie była prostytutką, sprzątaczką, salową lub pielęgniarką, to istnieje duże prawdopodobieństwo, że zostanie ona przez edytorów określona formą męską jako matematyk, nauczyciel, pilot, programista,

antropologiczne, kobieta może być w drodze wyjątku określona jako antropolożka (forma słownikowa). Nie może przecież powstać wrażenie, że oboje antropologowie, połączeni związkiem uczuciowym, są mężczyznami. Zdarza się więc, że w Wikipedii na drodze konserwatywnego seksizmu językowego staje homofobia części edytorów.

Wikipedia jest kobietą

Władze Wikimedia Foundation, „właścicielki” Wikipedii, zdają sobie sprawę z konsekwencji, jakie dla kształtu i jakości projektu niesie zdominowanie go przez mężczyzn. Sue Gardner, dyrektorka wykonawcza fundacji, na swoim blogu zebrała pomysły na otwarcie tego męskiego klubu: rekrutacje specjalnie do kobiet, organizowanie wydarzeń przeznaczonych tylko dla wikipedystek, tłumaczenie mężczyznom edytorom, czującym niepokój w związku z rekrutowaniem kobiet, na czym polegają stereotypy płciowe i dlaczego afirmowanie obecności edytorek jest konieczne.

Efektom starań Sue Gardner w Polsce było m.in. zorganizowanie w zeszłym roku akcji „Wikipedia też jest kobietą”. Akcja przyniosła pozytywne rezultaty w postaci kilkudziesięciu nowych „kobięcych” haseł w polskiej Wikipedii. Kolejnym krokiem była wydana w zeszłym roku broszura „Witamy w Wikipedii”, przyjazny przewodnik dla początkujących. Instrukcja ilustrowana jest – co warto zauważyć – postacią kobietą. Język broszury nie pozostawia jednak złudzeń, że adresatami wydawnictwa są mężczyźni („po przeczytaniu będziesz wiedział” itp.). Wystarczyłoby przecież użyć bezokolicznika „wiedzieć”, by poradnik był napisany językiem neutralnym płciowo.

Wikipedia bez kobiet lub wrogo wobec nich nastawiona może wykorzystać tylko połowę swojego potencjału. Wyobraźmy sobie polskojęzyczną Wikipedię, w której można znaleźć nie tylko bardzo rozbudowaną kategorię „Aktorki pornograficzne”, ale również „Noblistki”. Wyobraźmy sobie Wikipedię, w której Stefania Wilczyńska nie jest dodatkiem do Janusza Korczaka. Wyobraźmy sobie Wikipedię, w której edytorki nie będą spotykać się z agresją i protekcjonalizmem. Wikipedia może taka być, jeśli mężczyźni edytorzy zechcą, by tak się stało. ●



Sue Gardner, dyrektorka wykonawcza Wikipedia Foundation, chce większej feminizacji internetowej encyklopedii

BIANKA SIWIŃSKA

Beata Stoń inżynierkę środowiska wybrała podczas Dnia Otwartego tylko dla Dziewczyn na Politechnice Warszawskiej. – Zrozumiałam, że mogę się tam sprawdzić. Zobaczyłam politechnikę z kobiecej perspektywy – mówi. Takich dziewczyn jak Beata, zainspirowanych akcją „Dziewczyny na politechniki!”, jest z roku na rok coraz więcej – w sumie już ponad 15 tys.

Dni Otwarte to pierwsza w Polsce kampania promocji kierunków technicznych i ścisłych wśród dziewczyn. Ku zaskoczeniu twórców – Fundacji Edukacyjnej Perspektywy i Konferencji Rektorów Polskich Uczelni Technicznych – od początku cieszyła się dużym zainteresowaniem maturzystek. – Szybko przekonaliśmy się, że akcja ma sens, przynosi efekty, a dziewczyny świetnie sprawdzają się na kierunkach inżynierskich – mówi prof. Antoni Tajduś, przewodniczący Konferencji Rektorów i rektor AGH w Krakowie.

– Zależało nam, żeby panie przestały ciągnąć na kierunki humanistyczne i społeczne tylko dlatego, że to utarte wybory. Żeby wzięły pod uwagę całe spektrum możliwości, jakie otwiera kształcenie konkretne, ścisłe, inżynierskie – dodaje prof. Jan Krysiński, były rektor Politechniki Łódzkiej, który jako pierwszy zdecydował się wprowadzić akcję na swojej uczelni.

W ciągu pięciu lat udział dziewczyn w studiach politechnicznych wzrósł o 5 proc. i wynosi teraz 35 proc. Na niektórych uczelniach liczba dziewczyn wzrosła nawet o jedną czwartą. Akcja przyczyniła się do popularyzacji kształcenia inżynierskiego nie tylko wśród dziewczyn. Już w poprzedniej rekrutacji po raz pierwszy w historii polskiej edukacji studia na uczelniach technicznych stały się bardziej pożądane od tych uniwersyteckich. Jeszcze wyraźniej widać to było w rekrutacji ostatniej. Wśród czterech najpopularniejszych uczelni w kraju znalazło się aż pięć politechnik – z Politechniką Warszawską na czele.



Inżynierki na ministerki

Trudno w to uwierzyć, ale nadal są kierunki studiów, na których nie ma ani jednej studentki



Co roku w ramach Ogólnopolskiego Dnia Otwartego tylko dla Dziewczyn kilkanaście tysięcy młodych kobiet ma szansę porozmawiać ze studentkami i absolwentkami, dotknąć technologii. W tym roku zapraszamy 26 kwietnia na Akademię Górniczo-Hutniczą, ATH w Bielsku-Białej, politechnik: Białostocką, Częstochowską, Gdańską, Krakowską, Łódzką, Opolską, Poznańską, Radomską, Warszawską, Wrocławską, a także do Wyższej Szkoły Ekologii i Zarządzania w Warszawie. W akcję „Dziewczyny do ścisłych!” zaangażowane są wydziały: Fizyki uw, Fizyki, Astronomii i Informatyki Stosowanej UMK w Toruniu, Matematyki, Matematyki i Informatyki UAM w Poznaniu. Rejestracja na stronie www.dziewczynynapolitechniki.pl

Wśród najczęściej wybieranych kierunków na pierwszym miejscu było budownictwo, na trzecim – informatyka.

Wciąż jeszcze istnieją jednak kierunki, na których kobiet nie ma w ogóle (jak optoelektronika na WAT), czy kierunki, gdzie jest ich, tak jak na Wydziale Elektryki Politechniki Śląskiej, około 2 proc. – Na elektrotechnice na drugim roku nie mamy żadnej dziewczyny – mówi mgr inż. Agata Majcherczyk z Wydziału Elektrotechniki, Automatyki i Informatyki Politechniki Świętokrzyskiej. – Jest nas tak mało, że koledzy mówią na mnie Emil – dodaje Emilia Celary z V roku budownictwa. – U nas mówi się, że kobieta inżynier jest jak świnka morska: ani świnka, ani morska – puentuje Milena Wojterska z III roku mechaniki i budowy maszyn.

Na kluczowych z punktu widzenia rozwoju technologicznego kraju kierunkach informatycznych jest średnio jedna dziewczyna na dziesięciu chłopaków. A przecież to właśnie te kierunki są najbardziej poszukiwane w Europie, kariera w branżach powiązanych z nowymi technologiami należy do najbardziej intratnych. To też nie przypadek, że co trzeci prezes z 500 największych firm w Polsce według zestawienia „Rzeczpospolitej” jest absolwentem uczelni technicznej, co czwarty – Politechniki Warszawskiej. Studia techniczne przygotowują nie tylko do zadań inżynierskich, ale są też znakomitą bazą do międzynarodowej kariery biznesowej czy naukowej.

Dziewczyny na Politechniki!

Porozmawiajmy o pieniądzach



ADAM OSTOLSKI

Autor felietonu jest socjologiem

Choć w codziennym życiu możemy tego nie zauważać, pieniądze, jakimi się posługujemy, nie są tylko środkiem płatniczym, lecz także nośnikiem pewnej wizji społeczeństwa i gospodarki. Na przykład euro może być symbolem europejskości, a złotówka – przywiązania do państwa narodowego. Ale symbole są tu mniej ważne. To stopy procentowe ustalają jakąś równowagę sił między ludźmi utrzymującymi się z pracy a tymi, którzy czerpią dochody z kapitału, oraz między regionami, które potrzebują ochrony przed inflacją, a tymi, które potrzebują bodźca do wzrostu gospodarczego. Same reguły rządzące ustalaniem stóp procentowych nie są bez znaczenia. Amerykańska Rezerwa Federalna ma obowiązek troszczyć się nie tylko o otrzymanie w ryzach inflacji, ale także dbać o „cele społeczne”, czyli wzrost gospodarczy i poziom zatrudnienia. Banki centralne w Polsce i w strefie euro mają cele bardziej ograniczone: po pierwsze, drugie i trzecie – niska inflacja. W Szwecji w ustalaniu wysokości stóp uczestniczą przedstawiciele świata pracy, ale w większości krajów odbywa się to w wąskim gronie ekspertów technokratów.

Z punktu widzenia zwykłego człowieka najlepsza jest taka waluta, która wspierałaby rozwój społeczny i najlepiej chroniłaby przed negatywnymi skutkami globalizacji. Wiele osób uważa, że taką walutą jest euro. W końcu powstało ono m.in. dlatego, że na global-

nym rynku liczą się silni gracze, a połączone siły europejskich gospodarek wydawały się większe niż siła każdej z nich osobno. Frank, lir, a nawet marka (ktoś jeszcze pamięta te nazwy?) nie mogły konkurować z dolarem jako światową walutą rezerwową. Skoro nie możemy (lub nie chcemy) wypisać się z globalnego wyścigu, to nic nie chroni od przegranej lepiej niż... bycie po stronie wygranych.

Obecny kryzys pokazuje słabości tego rozwiązania. Paradoksalnie na globalne wstrząsy odpornejsze są waluty narodowe. Euro jest duże i nieruchawe, podczas gdy warunkiem stabilności jest zdolność przytomnego reagowania na zmieniające się warunki. Takiej elastyczności nie ma, bo trzeba uzgadniać bieżącą politykę między kilkunastoma państwami o różnych interesach i ideologiach. Problem w tym, że alternatywę – uzgodnienie raz i na zawsze określonych rozwiązań i wpisanie ich do unijnych traktatów oraz narodowych konstytucji – też trudno uznać za elastyczną odpowiedź na zmienne warunki. Tysiącletnie „hamulce fiskalne” Angeli Merkel to tyleż pokaz siły (wobec europejskich partnerów), ileż demonstracja słabości (wobec wyzwań, przed jakimi stoi Europa). Ci, którzy twierdzili, że euro to chybiony projekt, mają dziś powody do satysfakcji.

Nie w dużych rozmiarach, lecz w zdolności szybkiego reagowania leży bezpieczeństwo. A może niekoniecznie? W różnych krajach na świecie, ostatnio zwłaszcza w Grecji, ale także w Wielkiej Brytanii, ludzie szukają odpowiedzi na kryzys sami, nie czekając na zmiłowanie rządzących. Mnożą się waluty lokalne i banki czasu. Tworzone przez ludzi na własny użytek dostarczają brakującego pieniądza, a zarazem zachęcają do większego skupienia na wymianie dóbr i usług na poziomie lokalnym. Lokalizacja gospodarki ma bezpośrednią wartość ekologiczną, ale także społeczną. Waluty lokalne tworzą uspołecznione rynki, wychodzą poza kapitalizm, bo nie są podatne na akumulację, nie można ich tak po prostu wsadzić do walizki i wywieźć.

Z kolei banki czasu przekładają się na większą równość kobiet i mężczyzn – w sytuacji, gdy godzina pracy każdego i każdej jest warta dokładnie tyle samo, znajdujemy się nagle w świecie wolnym od panujących na „wolnym rynku” uprzedzeń.

Dzisiejszy kryzys w strefie euro to szansa, by wreszcie o tym poważnie porozmawiać. Pękło tabu, które kazało krytyczną refleksję nad wspólną walutą traktować jako zamach na symbol europejskości. Okazało się, że symbole to za mało (ktoś wsadził kiedyś jakiś symbol do garnka?) i że realna ekonomia polityczna strefy euro sprzyja dziś raczej podgrzewaniu nacjonalizmów niż ich chłodzeniu. Podczas gdy europejscy przywódcy zajmują się nadal gotowaniem zupy z gwoźdździa, myślący Europejczycy i Europejki zastanawiają się, gdzie szukać wyjścia z tarapatów. Być może euro da się uratować – ale tylko wtedy, gdy harmonizacja podatków zapewni ochronę przed dumpingiem socjalnym, kryteria uczestnictwa w unii gospodarczo-monetarnej zostaną poszerzone o cele społeczne i ekologiczne, solidarna polityka gospodarcza zapewni redystrybucję bogactwa na skalę kontynentu, a rządzenie Unią Europejską zostanie głęboko zdemokratyzowane. Ambitne? Owszem. Ale przynajmniej nie są to czary-mary.

A może euro nie trzeba wcale „ratować”? Kontrolowany powrót do walut narodowych nie tylko nie musiałby oznaczać końca wspólnej Europy, ale wręcz mógłby dać jej szansę na nowy początek. A może lepszy byłby system dwuwarstwowy, w którym euro i waluty narodowe istniałyby równolegle obok siebie, pełniąc różne funkcje? A może jest jeszcze jakieś inne rozwiązanie, na które jeszcze nie wpadliśmy, bo nie chciało nam się o tym rozmawiać, gdyż uznaliśmy dawno temu, że mądrzy ludzie w Brukseli już wymyślili dla nas świetlaną przyszłość? Prawdę mówiąc, nie znam odpowiedzi na te pytania. Ale czułbym się spokojniejszy, gdybym wiedział, że ktoś je sobie w Polsce zadaje.



Awanturница

Heretyczka, zbokolka, wariatka – z epitetów pod swoim adresem Sinéad O'Connor czerpie siłę do kolejnych prowokacji. I do śpiewania. Właśnie ukazała się jej nowa, świetna płyta

MACIEJ JARKOWIEC

Uwaga! Ten tekst będzie pełen brzydkich wyrazów. Jego bohaterka przeklina jak szewc. Opinii gniewnej, kontrowersyjnej i wnerwionej dorobiła się prawie ćwierć wieku temu, u progu rockowej kariery. Inic nie pozbyła się jej do dziś. „Urządzam awantury i jestem z tego dumna” – deklaruje. Tytuł jej najnowszego krążka brzmi „How About I Be Me (And You Be You)”, czyli „A może tak ja będę mną (a ty będziesz tobą)”, ale autorka wolała by inny: „Chciałam ją nazwać »A może tak: ja będę mną, a ty spierdalaj«, tyle że nie wysta-

wiliby czegoś takiego na półki w supermarketach.

Na koncertach opowiada, że jeszcze lepiej na tytuł jej płyty nadaje się odzywka niewiernej

żony do zdradzonego męża, którą zasłyszała w telewizji: „Jezus mnie zbawił, więc się odpiardol”. W zeszłym roku Sinéad O'Connor wytatuowała sobie Jezusa nad biustem. Dziara, której – jak recenzuje Olaf Tyaransen

„Bóg jest dobry” – powtarza artystka. „To my potrafimy wszystko spierdolić. On siedzi na górze, pali skręta, obgryza paznokcie i duma: »Kurwa, co ja mam teraz z tym zrobić?«”.

Sinéad O'Connor niezmiennie upiera się, że Bogu trzeba pomóc.

Duchowa strażaczka

Album „How About I Be Me...” jest „orzeźwiający i przywraca jej artystyczną reputację” (według „Guardiana”); „skoncentrowany, pełen dowcipu, bystrości i piękna” (według „Rolling Stone”) czy wręcz „najatrakcyjniejszy w jej karierze” (według „Irish Timesa”). Krytycy nie szczędzą pochwał, O'Connor objeżdża Amerykę i Europę, na żywo brzmi ponoć jeszcze lepiej niż na płycie (w Polsce nie przekonamy się o tym; najbliższa okazja to Berlin, 19 kwietnia).

Sinéad O'Connor doznała krzywd: matka, Kościół, Irlandia.

Urodziła się w Dublinie 8 grudnia 1966 r., kilka miesięcy przed gromem z jasnego nieba, jakim dla Irlandii była projekcja dokumentu Petera Lennona „Rocky Road to Dublin”. Obraz, zapólkowany przez cenzurę na 30 lat po jednym pokazie, jest bezpardonowym atakiem na irlandzkie społeczeństwo „zurbanizowanych chłopów”, pozbawione „moralnej odwagi, zastrygłe w sojuszu z obskurantem i zdziczałym Kościołem (wedle słów jednego z bohaterów filmu, pisarza Seána Ó Faoláin)”. Sinéad, gdy tylko dorośnie, zaatakuje jeszcze bardziej zapiekle.

Jej gniew kiełkuje pod okiem matki, która tłucze ją niemiłosiernie i zamyka na całe dni w nieogrzanych komórkach. „Nie była zdolna do miłości” – powie po latach. „Cierpienie,

ciągłym strachem i agonią” fundują jej tam gitarę. Jeszcze jako nastolatka zakłada zespół i nagrywa pierwsze dema. W 1987 r. wydaje debiut „The Lion and The Cobra”, a trzy lata później cały świat patrzy oniemiały na jej wygoloną głowę i pojedynczą łzę spływającą powoli po bladym jak mgła policzku w teledysku do „Nothing Compares 2 U”.

Prawdziwy wróg

„Bóg potrzebuje naszej pomocy. Trwają wojny. To znaczy, że mamy problem z duchowością. Liderzy duchowi zawodzą. Powinnością artysty jest być duchową strażą pożarną świata” – deklaruje Sinéad O'Connor. Jej występ w najpopularniejszym programie telewizyjnym USA „Saturday Night Live” w 1992 r. trzeba uznać za brawurową próbę wyniesienia dzieci z płonącego domu. Na koniec emocjonalnego wykonania „War”



Nie odeszła od chrześcijaństwa. Walczy z Kościołem katolickim

w magazynie „Hot Press” – nie postydziłby się żaden meksykański baron narkotykowy, kosztowała ją trzy godziny „najbardziej jebitnego bólu w życiu”. Podobną w cierniowej koronie przyozdabiają czerwone róże i serce broczące krwią.

Rok 1992: w programie „Saturday Night Live” podarła zdjęcie Jana Pawła II. W odwecie katolicy walcem rozjechali jej płyty

Materiał nagrany w kapciach i koszuli nocnej w domu byłego męża piosenkarki Johna Reynoldsa przez długi czas nosił roboczy tytuł „Home”. „Dom” w jej prywatnym słowniku to ciągle niespełnione pragnienie normalności. „Chcę być zwyczajna, jak wszyscy ludzie na ulicy. Jestem nieśmiała, wierzcie lub nie, więc proszę z miłością – zostawcie mnie w spokoju, pomóżcie odzyskać prywatne życie” – napisała w liście do fanów w 2003 r., kiedy po raz trzeci w karierze (nie ostatni) ogłaszała jej zakończenie.

Dom to cztery małżeństwa, czwórka dzieci, szukanie ostatniego męża przez ogłoszenie na Twitterze. Dom to też miejsce, gdzie

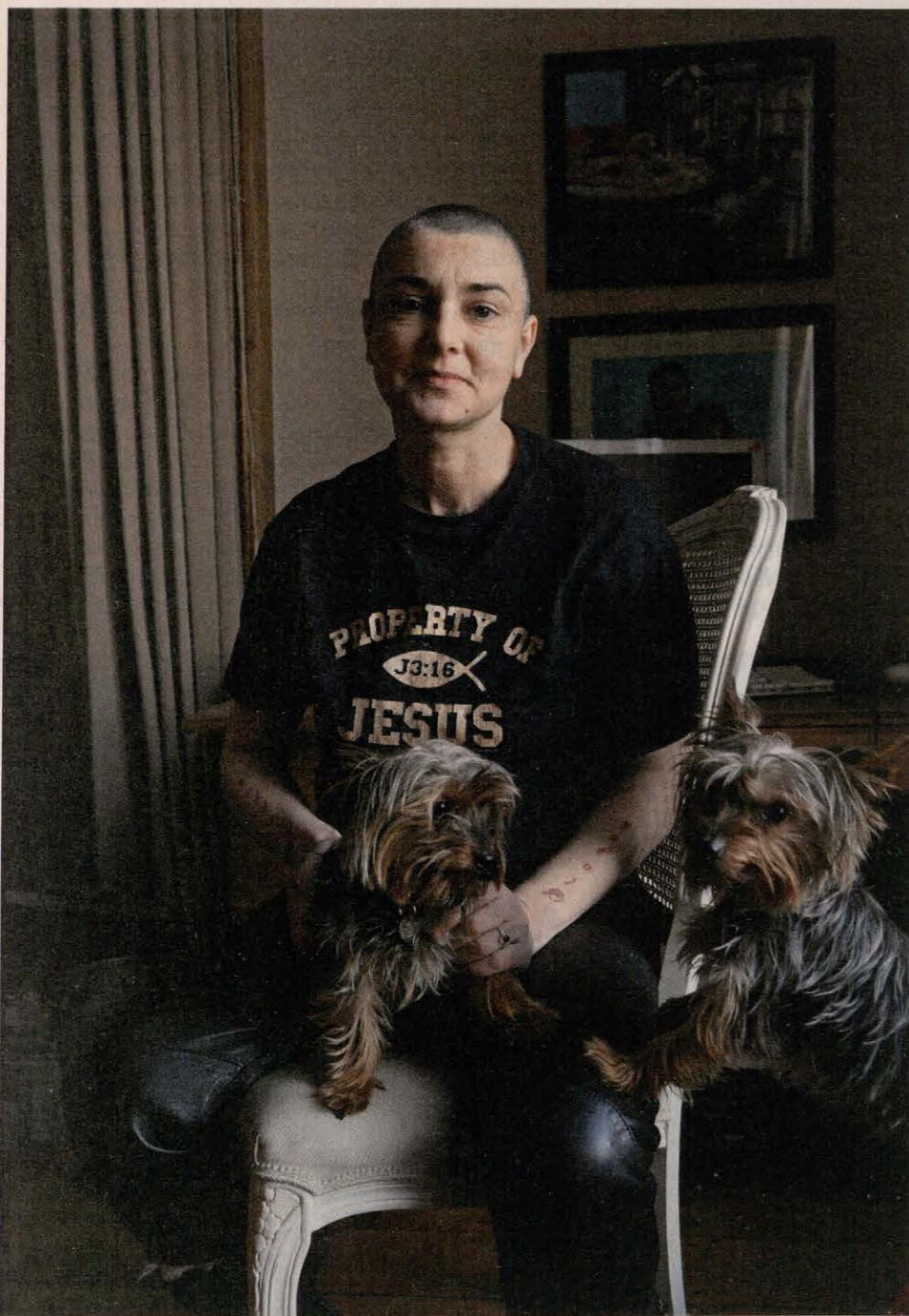
jakie przy niej zniosłam, jest większe od Empire State Building”. „Dom został spalony” – śpiewa w „Fire on Babylon”, najsłynniejszej z pieśni, w których rozlicza się z matką. Jej ojciec, Sean O'Connor, przez lata walczył o prawo do opieki nad dziećmi, a w latach 80. zakładał Divorce Action Group, organizację zabiegającą o zalegalizowanie rozwodów, wówczas zakazanych przez konstytucję (udało się to dopiero w 1995 r.).

Sinéad ucieka od matki w wieku 15 lat, przyłapaną na kradzieży ląduje w jednym z setek ośrodków dla „upadłych dziewcząt i kobiet”, opłacanych przez państwo, a prowadzonych przez siostry zakonne. Poza

Jako piosenkarka współpracowała między innymi z Peterem Gabrielem, Mobym, Dolly Parton i U2. Przebój „Nothing Compares 2 U” napisał dla niej Prince

Boba Marleya rwie przed kamerą zdjęcie Jana Pawła II na strzępy, rzuca je za plecy i krzyczy: „Walcz z prawdziwym wrogiem!”.

Wydarzenie nie schodzi z medialnej tapety przez kilka tygodni. Amerykańscy katolicy wynajmują walec i rozjeżdżają nim setki płyt piosenkarki. Frank Sinatra obiecuje, że „skopie jej dupę”, choć według niektórych źródeł powiedział tak po tym, gdy zakazała wykonywania hymnu USA przed swoimi koncertami, a według jeszcze innych po tym, gdy odmówiła przyjęcia Grammy i zażądała, by jej nigdy więcej do tej nagrody nie nominować. Podczas koncertu na cześć Boba Dylana w Madison Square Garden →



W pewnym momencie zapuściła włosy, ale gdy ktoś zapytał ją, czy nie jest Enyą, znów je zgoliła

→ O'Connor zostaje zabuczana, przerywa wykonanie dylanowskiej „I Believe in You” i jeszcze raz, a cappella wykrzykuje całe „War”.

Na rehabilitację przyjdzie jej czekać długie lata. Dopiero w 1999 r. nadany w irlandzkiej telewizji serial „States of Fear” wstrząsa krajem. Głośno zaczyna się mówić o tym, o czym ona krzyczała prawie dekadę wcześniej – że molestowanie dzieci w kościelnych instytucjach ma masowy i systemowy charakter. Dopiero w 2009 r. Irlandia poznaje

rządowe raporty – najpierw Ryana, potem Murphy'ego – dokumentujące skalę zjawiska. Staje się jasne, że przez kościelno-państwową maszynę terroru przeszły tysiące dzieci, najczęściej z biednych albo patologicznych rodzin. „Irish Times” oskarża: „Przemoc nie była wadą systemu. Ona była systemem. Terror stanowił zarówno cel, jak i metodę działania”.

Na światło dzienne wychodzą dokumenty świadczące, że ludzie z najbliższego otocze-

nia Jana Pawła II wiedzieli o gwałtach na nieletnich, jakich dopuszczali się przez lata duchowni na całym globie. Opinia, że polski papież jest współwinny krzywdy – przez swoje milczenie i zgodę na ochronę gwałcieli – dopiero 20 lat po występie O'Connor zostaje uznana za uprawnioną.

Ksiądz kobieta

Raporty Ryana i Murphy'ego piosenkarka nazywa „lekturą obowiązkową dla wszystkich katolików”. Ich publikację stawia na równi z największymi wydarzeniami w historii kraju: epidemią głodu z XIX w., wojną o niepodległość, wojną domową. „Kiedyś będą nauczać w szkołach, że dopiero wtedy uwolniliśmy naszą narodową psychikę od Kościoła opętanego przez szatana”. Jej najnowszą płytę zamyka utwór „V.I.P.”, w którym atakuje największego irlandzkiego gwiazdora Bono za to, że milczał i milczy w sprawie grzechów Kościoła. Na swojej stronie pisze, że zamiast oddać cały swój autorytet sprawie skrzywdzonych przez Watykan Irlandczyków, lider U2 „po śmierci JP2 wyszedł na scenę z różańcem oplecionym na dłoni i plół androny o tym, jak to JP2 był cholernie równym kolesiem”.

Rządowe raporty wbiły gwóźdź do trumny irlandzkiego katolicyzmu. W kraju, gdzie w latach 80. ubiegłego wieku 95 proc. obywateli deklarowało katolicyzm i regularny udział w niedzielnych mszach, dziś mniej niż jedna trzecia odwiedza kościół „od czasu do czasu”, a w dużych miastach odsetek ten nie przekracza kilkunastu procent.

Sinéad O'Connor wymeldowała się z Kościoła już w 1999 r., po swoim urzędzającym przy okazji awanturę. Przyjęła święcenia w dysydenckim Ortodoksyjnym Kościele Katolickim. „Zostałam księdzem katolickim, bo wychowałam się w katolickiej Irlandii. Tym samym odzyskuję dla irlandzkich kobiet należne im miejsce”.

Jako pierwsza w Irlandii ksiądz kobieta identyfikuje się też z ruchem jamajskich rastafarian, czego owocem była płyta reggae „Throw Down Your Arms” z 2005 r. Gdy pada pytanie: „Co byś zrobiła, gdyby do pokonu wszedł Benedykt XVI?”, odpowiada: „Grzecznie poprosiłabym go, żeby wyszedł. Rasta nie przystaje z szatanem”.

Zastrzyk w punkt G

Z lat szkolnych zapamiętała taką scenę: „Miałam chyba 12 lat, kiedy do klasy weszła nieznana nam stara zakonnica. Skradała się do tablicy jakby tyłem, żeby nie było

jej widać. Wzięła kredę i narysowała potężnego, 30-centymetrowego twardego kutasa, z osprzętem wielkich jajec. Pospadałiśmy ze śmiechu z krzesel i kulaliśmy się po podłodze. Siostra nie wytrzymała i wybiegła z klasy. I to był koniec mojej seksualnej edukacji”.

Większość Irlandczyków z pokolenia O'Connor nie odbyła w młodości nawet takiej lekcji, więc po latach piosenkarka postanowiła nadgonić z rodakami materiał. Posłużyły jej do tego szpalty poczytnego „Sunday Timesa”, które gazeta użyczyła jej pod felieton. Przez kilka miesięcy zeszłego roku czytelnicy i czytelniczki dowiadawali się, jak używać w sypialni słodkich ziemniaków, jak czerpać przyjemność przez pupę i dlaczego warto przyjąć specjalny zastrzyk w punkt G (bo wzmacnia orgazm o całe 10 proc.). „Podjęłam się wyeksplorować do cna mą seksualność na rzecz wszystkich irlandzkich kobiet”. Ogłaszane w felietonach castingi na kowbojów, którzy najlepiej ją ujadą, miały być tym, czym zgo-

lenie głowy przed ćwierćwieczem – wyzwoleniem z roli, jaką narzuciły jej patriarchalny świat i Kościół katolicki. Ale Irlandkom i Irlandczykom coraz trudniej na jej widok ukryć uśmiech politowania. – Przegięła, zamieniła samą siebie w żart – żałuje Tom McMahon, znajomy dublińczyk, kiedyś jej wielbiciel.

„Podjęłam się wyeksplorować do cna mą seksualność na rzecz wszystkich irlandzkich kobiet

SINÉAD O'CONNOR

To częsta opinia, ale O'Connor deklaruje, że przestała się krytyką przejmować. „Dylan od samego początku miał w dupie, co ludzie mówią. Ja jestem popierdolona, więc zajęło mi to 25 lat”. Właśnie na przekór fali wyśmiewania jej erotycznej publicysty-

ki w ostatniej chwili zmieniła tytuł nowej płyty z „Dom” na „A może tak ja będę mną (a ty będziesz tobą)”.

Na razie upragnioną normalność buduje z nowym mężem, zapoznanym na Twitterze (uciekła od niego 16 dni po ślubie, ale wróciła – twierdzi, że na dobre), w domu nad morzem, otoczona czwórką dzieci, psami i obrazkami Matki Boskiej. W ostatnim wpisie na swojej stronie (z 25 lutego) prawie w ogóle nie przeklina. Pisze, że chce być światłem, które tylko przez muzykę pokazuje, że Duch Święty istnieje. „Spróbuję urządzić coś więcej niż tylko awanturę” – śpiewa na nowym albumie w kawałku „Very Far from Home”. Ale opamiętanie – tak jak koniec kariery – Sinéad O'Connor zapowiadała w przeszłości wielokrotnie. Na szczęście nie jest słowna. Oprócz świetnej muzyki musi być awantura. Bez awantur Bogu pomóc się nie da.

Wypowiedzi Sinéad O'Connor pochodzą z wywiadów prasowych i telewizyjnych z lat 1989–2012 oraz z jej oficjalnej strony: sineadconnor.com

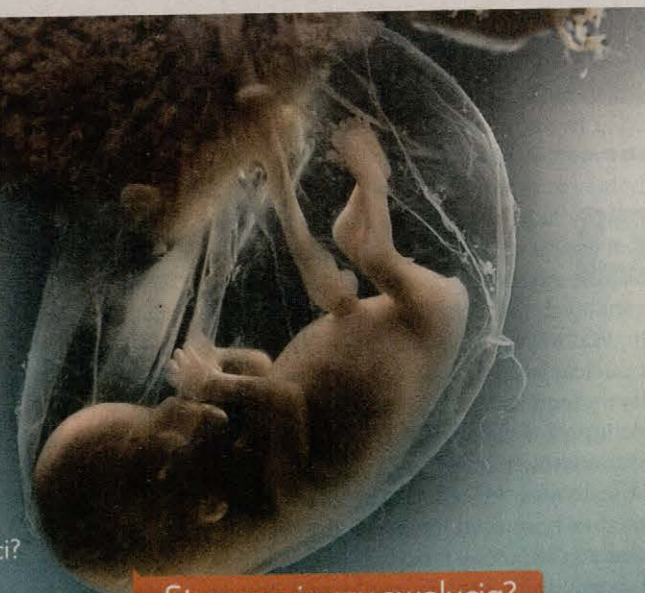
REKLAMA

Czy
Bóg?
istnieje ■

Szukasz odpowiedzi na jedno z największych pytań ludzkości? Oglądaj skłaniające do myślenia dokumenty, dzięki którym poznasz argumenty za i przeciw istnieniu Boga oraz przyjrzyj się różnym aspektom religii.

Nowy cykl programów tylko w BBC Knowledge od poniedziałku do środy o 22:00.

Dołącz do dyskusji na bbcpolska.com



Stworzenie czy ewolucja?

BBC
Knowledge

Śmierć Fredrom i Mroźkom

Historia Weroniki Szczawińskiej jest historią sukcesu, dobra i mądrości. Siły przebiccia i mozolnej konsekwencji „kobiety trzydziestoletniej” w teatrze



LUKASZ DREWNIAK

Dla jednych Weronika Szczawińska (rocznik 1981) jest na razie artystką niszową, przygotowującą w prowincjonalnych teatrach (Olsztyn, Kielce, Koszalin, Wałbrzych) spektakle radykalnie formalne, uciekające od łatwych emocji, oczywistej psychologii i opowiadania prostych historii. Dla innych wszystko jest już jasne: z jej eksperymentów wykuwa się frapująca sceniczna stylistyka, która rzuca wyzwanie mainstreamowemu trendom. Należy do tej grupy młodych twórców, którzy nie potrafią i nie chcą rozdzielić wiedzy oraz kreacji. Nie zgadza się na sztuczny podział – naukowiec i reżyser praktyk. Kulturoznawczyni, anglistka, pisze eseje, tłumaczy, redaguje czasopisma, robi doktorat i ma jeszcze czas na trzy premiery w sezonie.

Niepokorna adeptka

Czasy przyszły takie, że najlepiej od razu powiedzieć, jakie artysta, o którym opowiadamy, ma pochodzenie społeczne. Szczawińska

urodziła się w Warszawie jako przedstawicielka wielkomięskiej inteligencji. Jej rodzice przyjechali tu na studia z mniejszych miejscowości. Rodzina mamy była czysto chłopska, ojca mieszała.

– Może dlatego tak bardzo podobał mi się spektakl „Niech żyje wojna!!!” Demirskiego i Strzępki, bo nikt z mojej rodziny nie walczył i nie zginął w powstaniu warszawskim. Ten mit mnie nie dotyczy – mówi.

Kończyła to samo elitarnie liceum co Jan Klata i Maja Kleczewska, czyli Batorego.

– Przestałam chodzić do teatru jako bardzo młoda osoba, kiedy trzeci raz przyprowadzono mnie do Polskiego na „Zemstę” – wspomina.

Wróciła, kiedy ktoś namówił ją na „Noc listopadową” Grzegorzewskiego w Narodowym. Wprowadzie spektaklu nie zrozumiała, ale zaciekało ją, że choć był oparty na klasycznym dramacie, nic w nim nie było przewidywalne.

Później, już jako studentka reżyserii na Akademii Teatralnej, przeszła trening aktorski w Studium Teatralnym Piotra Borowskiego, jednego z kontynuatorów prac Grotowskiego. – Trafiłam tam dzięki warsztatom prowa-

dzonym przez zespół w 2005 r. – opowiada. – Okazało się, że prowadzili rodzaj selekcji – po zakończeniu pracy proponowali kilku osobom dołączenie do grupy. Grałam w „Henryk. Hamlet. Hospital”. Byłam jedną z pacjentek szpitala psychiatrycznego, które otaczały głównego bohatera, roboczo nazywano mnie Julią. Na końcu zakłuwałam go nożem.

Grała dziewczynę „nadwrażliwą”, o ekspresji rozpiętej pomiędzy dynamicznym ruchem a budowaniem jakiejś dziwnej psychozy.

Mówi, że wierzy serio w lewicowe prawdy, że „świat to za mało”, występuje przeciwko wierze, iż porządek rzeczywistości został nam dany raz na zawsze i nie ma alternatywy. Jak wielu twórców z jej pokolenia chce za pomocą sztuki zmieniać świat, co oznaczałoby przede wszystkim zmianę świadomości widza.

Feministka

W jednej z otwierających scen „Kamasutry”, najnowszej premiery Szczawińskiej w Wałbrzychu, na scenę wchodzi elegancki i przystojny aktor w zielonym fraku, tyle że bez majtek. Jego partnerka podstawia mu pod

przyrodzenie srebrną tacę. I układa je na niej jak egzotyczną potrawę. „Bierzcie i jedzcie z tego wszyscy” – zdaje się mówić reżyserka, bo to jest przecież spektakl o naturze przyjemności. „Niech każdy czyni, jak chce!”. Czy pragniemy tylko tego, co wzbudza w nas pożądanie? A może pożądamy dokładnie tego samego, czego pożąda nasz bliźni?

Przedstawienia Szczawińskiej są najczęściej głosem kobiety nieukrywającej feministycznej optyki. Olsztyński monodram „Jackie. Śmierć i księżniczka” przypominał mechaniczny balet seksualno-językowy, stawał się bitwą ze stereotypami, które determinują bycie kobietą. Grana przez Milenę Gauer eksprezydentowa Kennedy-Onasis szukała na scenie konwencji, za pomocą których mogłaby wyrzucić siebie. Nic z tego. Na zawsze już uwięziona w roli matki i żony, erotycznego przyrzędu do zaspokajania władców i bogaczy, zastygała jak pomnik niezrealizowanej kobiecości. W przezroczystej trumnie lub na wystawie sklepowej.

W kieleckim „Białym małżeństwie” Bianka próbowała się wyrwać z przesyconego seksem monstrualnego domu-pudełka pełnego tajemniczych szuflad, przejęć, wystaw i ruchomych modułów, symbolizującego niezrozumiały i obleśny świat jej rodziny i wszystkich dorosłych. Uciekała z narzuconej jej kobiecości, by zacząć tworzyć siebie raz jeszcze – od pustej, niezapisanej strony swojego ciała. Szczawińska pocięła tekst Różewicza, zastępowała słowa partyturą złożoną z ruchu i rytmu. Aktorzy chrząkali, pociągali nosami, krzywili się, stukali w ściany, poklepywali po ciele i podśpiewywali pojedyncze sylaby. Jakby to była feministyczna operetka.

Reżyserka szuka w literaturze i teatrze dyskryminowanego w przeszłości głosu kobiet, przedstawia akcenty, przywraca zagubione proporcje, tropi męskie fantazmaty.

– Deklaruję się jako feministka trzeciofala – wyjaśnia. – Mogę chodzić w zwiewnych sukienkach i grać swoją kobiecością, bo płeć jest zabawą. Gram kobietę, jaką sobie wyobrażacie, jaką ja wyobrażam. Feministki drugiej fali określałyby to jako uleganie stereotypom, my z trzeciej wiemy, że to nasz wolny wybór.

Niekontynuatorek

Szczawińska nie jest epigonką teatru Warlikowskiego i Jarzyny, nie kontynuuje linii Lupy. Daleko jej do Klaty i Zadary. Z politycznym, wściekle doraźnym i prowokacyjnym teatrem Strzępki i Demirskiego jest jej po drodze tylko w przypadku reinterpretacji historii. Jej spektakle są jednak jak najdalsze od publicystyki,

to raczej hołd dla teatralnej formy, błyskotliwy wykład, który sam wchodzi widzowi do głowy.

Podjęła najciekawsze, najbardziej dziś aktualne wątki z prac Grotowskiego, Kantora, Grzegorzewskiego, rozbiła je na sceniczno-aktorskie atomy i spróbowała ulepić z tej miazgi coś własnego. Inspirowała się performance'em, sztukami wizualnymi, teatrem tańca. Wie, że współczesny teatr czerpie z teorii pełnymi garściami, że skończył się czas intuicji, czekania, aż na próbach, w sensie tajemnym, coś może się wyłoni z chaosu. Eksperyment sceniczny musi mieć solidną podstawę badawczą, artysta powinien precyzyjnie zakładać, co chce osiągnąć i jakimi środkami. Nie tylko wpuszcza w obieg atrakcyjną, nieszablonową tezę, ale testuje i kataloguje reakcje na nią.

To nieprawda, że morduje klasyków! Choć jej wałbrzyska obrazoburcza inscenizacja komedii Fredry kończyła się obwieszczeniem: „Mamy nadzieję, że było to ostatnie przedstawienie »Zemsty« na ziemiach polskich”. Reżyserka drwiła z jej anachronizmu i zafałszowanej recepcji. Złościła się, że marnujemy czas na wystawianie ramot w martwej konwencji teatralnej, podczas gdy tyle ważniejszych tematów dookoła. Wiersz Fredry był w spektaklu klepany jak pacierz, aktorzy przedrzeźniali gesty z XIX-wiecznych scen, w kilka minut odgrywając w parodystycznych „żywych obrazach” całą fabułę.

W nowohuckiej „Mojej pierwszej zjawie” opartej na opowiadaniu Mroźka reżyserka powtórzyła ten przedrzeźniający oryginał zabieg, stawiając sobie za cel „demontaż narracji męskoosobowej”. Narrator niby to opowiada o spotkaniu z widzianym, a aktorka mu przeszkadza, zagusza go, próbuje odnaleźć swój głos w jednostronnym, „zakłamanym” tekście.

Szczawińska podobno nie ma nic do klasyków. Dokonuje demontażu tekstu po to, by pokazać, jak szybko teatr kamienieje. Nie chce dodawać swojej cegiełki do dotychczasowych interpretacji. Odpowiedzialność wobec tradycji polega także na stałym jej zaprzeczaniu.

– Lubię powoływać się na formułę Joyce'a, która brzmi: „Nie będę służył”. I odnosi się do każdej tradycji literackiej, kulturowej, bogoojczyznianej – deklaruje.

Prowincjuszka

Nietrudno zrozumieć, czemu zaraz po debiucie pojechała na prowincję. Jej zdaniem twórcy rangi Warlikowskiego i Jarzyny, a nawet Klaty, odwrócili się plecami do jej pokolenia. Sami przecierali szlaki, a teraz, kiedy im się

udało, nie myślą o tym, żeby się podzielić sukcesem, bronią swoich pozycji.

– Teatry warszawskie, a wraz z nimi i inne z dużych miast, są kompletnie zamknięte na nowe nazwiska – narzeka. – Łatwiej zrobić eksperyment na obrzeżach. Na tak zwanej prowincji można odkryć niesamowitych aktorów. Tam są świetnie zespoły i ludzie, artyści, którzy tylko czekają, by ich potraktować poważnie.

Czy jej chłodne, będące laboratorium formy spektakle są rozumiane przez publiczność Olsztyna, Kielc i Koszalina? Szczawińska nie oglusza i nie kompromituje wrażliwości widza. Początki przedstawień to uczenie widzów teatralnego alfabetu, pokazywanie, na czym polega jej składnia, jaką gramatyką będzie się posługiwać. I ludzie powolutku wchodzi w ten matematyczny świat, żeby odkryć, że nie mówi o abstrakcjach i mgławicach, ale o tym, co znają z autopsji. Na przykład o miłości.

Szczawińska bada jej naturę od początku. Olsztyńskie „Noże w kurach” nie były – jak większość inscenizacji tego dramatu Harrowera – studium kobiecej alienacji, ale traktatem o semantyce słów i gestów. Trójka aktorów w pustej, białej przestrzeni wypisywała na ścianach litery, cyfry i znaki, za pomocą których próbujemy ująć i rozszyfrować sens życia oraz świata. Tak Szczawińska szukała definicji zdrady, pożądania, męskości i kobiecości.

W „Kamasutrze” reżyserka testuje, czy potrafimy mówić o erotyce bez wstydu, bez opresji religijnej, bez tabu ciała. Scenę spowija szary filc, są nim pokryte fikuśne kołderki w kształcie wagi, kaktusy-prącia i paki kwiatowe. Aktorzy udają tu maszyny przyjemności, wtajemniczają nas w zasady hedonizmu.

Reformatorka

Dwa ostatnie spektakle zrealizowała z Bartoszem Frąckowiakiem. Najpierw ona była dramaturgiem i scenarzystką, a on reżyserem („W pustyni i w puszczy. Z Sienkiewicza i innych”). W „Kamasutrze” role się odwróciły.

– To takie przewrotne testowanie hierarchicznych układów władzy w teatrze, które zwykle uznaje się za naturalne – wyjaśnia reżyserka.

Stałą scenografką Szczawińskiej jest Iza Wądołowska. Prawie w każdym przedstawieniu gra Piotr Wawer. Reżyserka nie tyle chce zbudować zespół twórczy o podzielonych kompetencjach, ile sprawdzić, czy można współpracować na partnerskich warunkach. Różnice zdań, fascynacja inną estetyką poszerzają wachlarz ich teatralnej oferty. Sceniczny język zmienia się, spektakl jest cały czas w ruchu, pęka i drży, słychać w nim dialog artystów. ●

ŁUKASZ WÓJCIK

Gdyby brak szczęścia był wystarczającym powodem do popełnienia samobójstwa, połowa Turczynek natchmiast by się zabiła – tłumaczy bohaterowi Pamukowego „Śniegu” wicegubernator Karsu po tym, gdy w mieście kolejna dziewczyna odbiera sobie życie.

Z książek Pamuka kapie anegdotami i drobiazgami. Po uważnej lekturze „Stambułu” można zostać przewodnikiem po starej osmańskiej stolicy, a „Czarna księga” nie straciłaby wiele ze swej przenikliwości, gdyby wyrzucić sto stron stambulskich felietonów Celala. Jest jednak jedno zjawisko, którego nie sposób znaleźć w książkach Pamuka. Nie ma tam ani jednej prawdziwie szczęśliwej kobiety.

Ich przemożny smutek sprawia, że wydają się jednowymiarowe. Pojawiają się na kolejnych stronach jakby za przesłoną. Są przedmiotem kultu, ale ich nie znamy, nie rozumiemy. Tak jak Füsün z „Muzeum niewinności”, İpek ze „Śniegu” czy Rüya z „Czarnej księgi”, która choć „fizycznie” nieobecna w całej książce, pojawia się niemal na każdej stronie. Kadi-

Zadają sobie śmierć nagle, podczas pieczenia ciasta lub prania. Chwila, i już ich nie ma. Kadife tak to tłumaczy: „Mężczyzna odbiera sobie życie, gdy już nie ma nic do stracenia. Kobieta, gdy grozi jej, że straci samą siebie”. Bo tu nie chodzi o chustę czy jakiegokolwiek względy religijne, które tak pasują do popularnej na Zachodzie układanki o zderzeniu cywilizacji.

Kobiety z zaśnieżonego Karsu odrzucają nie tylko zakaz noszenia chust, ale i nakaz ich noszenia. Rozdarła między europejskimi i azjatyckimi mężczyznami, których eksperymenty cywilizacyjne niewiele ich samych kosztują, Turczynki za wszelką cenę chcą pozostać suwerenne – nikt im nie będzie mówił, co mają nosić lub co jest zakazane. Ostatecznie wybierają samobójstwo jako jedyny sposób na zachowanie niezależności.

Miejskie więzienie

Na jednej ze ścian mauzoleum założyciela Turcji Kemala Atatürka w Ankarze widnieje napis: „Dawni Turkowie uważali, że kobiety i mężczyźni są równi. Potem, z przyjęciem islamu, kobiety straciły swoje prawa. Ale Atatürk

lawinowo rosła liczba samobójstw młodych małżonek.

Dzisiaj pracuje lub szuka pracy zaledwie co piąta Turczynka. Odsetek tych aktywnych zawodowo spada od 20 lat i w 2010 r. Turcja była pod tym względem za Algierią, Iranem, a nawet za Afganistanem. Jednocześnie ponad 40 proc. Turczynek jest ofiarami przemocy w rodzinie. Codziennie jedna kobieta w Turcji staje się ofiarą zbrodni „honorowej”. Ponad połowa żon wyszła za mąż wbrew swojej woli. Turcja nie ma problemu z prawem do publicznego noszenia chusty – włosy przykrywają nawet najbardziej znane feministki. Turcja ma problem z prawem kobiet do wolności.

Na jednej ze stron „Śniegu” Pamuk cytuje „Braci Karamazow”: „Więc pozbadźcie się ludzi, zmuscie ich, aby siedzieli cicho, ponieważ europejskie Oświecenie jest od nich ważniejsze”. Dostojewskiemu chodziło o Rosjan, którzy nie nadążali za modernizacyjnymi zapędami XIX-wiecznych carów. Według Pamuka ofiarami tego europejskiego Oświecenia w Turcji są głównie kobiety.

Ich mężowie uważają się już za oświeconych, tak jak koledzy Kemala, bohatera Pa-

Samobójczynie znad Bosforu

Są obiektami kultu i adoracji, a jednocześnie śmiertelnymi ofiarami narodu rozdartego między Europą i Azją – kobiety z książek Orhana Pamuka

fe, liderka samobójczyń z Karsu, mówi: „Dopiero po naszym samobójstwie zrozumieją, jak to samotnie być kobietą”. Myli się.

Kobiety most

Błogosławieństwem Turcji ma być jej miejsce – jest jak most między Europą i Azją. Jak most między kulturami ma czerpać z obu brzegów i jednocześnie uczyć obie strony siebie nawzajem. Jak most ma łączyć nowoczesność z tradycją. Tyle że ten eksperyment niewspółmiernie obciąża tureckie kobiety. One nie są mostem. One są rozerwane między brzegami. I wiele z nich prędzej czy później tonie.

Jeden z wątków „Śniegu” opowiada o dziewczynach, którym dyrektor szkoły zakazuje przychodzić na lekcje w chustach na głowie. Jednocześnie lokalni islamiści przestrzegają je przed pokazywaniem grzesznych włosów. I tak konflikt między cywilizacjami spada na głowę dwudziestoparoletnich kobiet.

od początku swoich rządów chciał, aby kobiety i mężczyźni znów byli równi w prawie”.

Nowoczesność, o której tak marzył Atatürk, przyniosła jednak milionom Turczynek zniewolenie. Dawne osmańskie miasteczka miały dwie przestrzenie publiczne – oddzielne dla kobiet i mężczyzn. Te dwa światy nie przenikały się. Kobiety miały hamamy i publiczne pralnie. Mężczyźni mieli meczety i kawiarnie. Ale emigracja do miast unicestwiła kobiece przestrzenie – zamiast hamamów każda ma dziś łazienkę w domu, a pralnie zastąpiła pralka. Mężczyźni nie tylko zachowali kawiarnie i meczety, ale zyskali też stadiony.

Dlatego dla Turczynek z prowincji miasta stały się więzieniami. Wcześniej większość pracowała w rolnictwie. Teraz w miastach nie mogą znaleźć pracy, a ich mężowie, sami korzystając z uciech miejskich, chronią żony przed zgubnym wpływem migających neonów. Wraz z urbanizacją w Turcji

mukowego „Muzeum niewinności”. Wieczorami szukają kobiet lekkich obyczajów, które śpią z nimi dla zabawy. Bogatsi odwiedzają burdele. Biedniejsi obmacują kobiety w zatłoczonych autobusach. A potem wypominają swoim żonom, że oddały się im przed ślubem.

Blondyna z reklamy

U Pamuka nieszczęśliwe są nie tylko kobiety z tureckiej prowincji, ale również te, które w miastach próbują nadążyć za Oświeceniem. Tak jak Sibel i Füsün, dwie mimowolne rywalki z „Muzeum niewinności”. Sibel jest dojrzalą, świetnie wykształconą „białą Turczynką” (w odróżnieniu od tych gorszych, ciemniejszych, z Azji), która idzie do łóżka z Kemallem – jak sama mówi – dopiero wtedy, gdy jest pewna, że będzie jego żoną.

Konsekwencje przedmałżeńskiego seksu od początku są nierównomierne. Kemalowi grozi najwyższej lokalna chwała macho-

Na ryzyko społecznego ostracyzmu naraża się tylko Sibel. I przegrywa. 30-letni Kemal w sklepie spotyka Füsün, długo niewidzianą kuzynkę, kiedyś dziecko, dziś już 18-letnią gwiazdę sesji w strojach kąpielowych. Kuzynka jawi się mu jako kobieta jeszcze bardziej niż Sibel nowoczesna, wyzwolona – Turcy nie mają problemu z wymiennym używaniem tych słów. To Füsün jest bliżej oświeconego ideału kobiety, której wzorem dla Turków jest Inga, blondwłosa niemiecka modelka z przewijającej się przez książkę reklamy wody sodowej Meltem.

Przez następne miesiące Kemal będzie spędzał ze swoją „Ingą” upojone popołudnia w starym mieszkaniu matki. Jego kochanka jest piękna, ale niestała, nieprzewidywalna. To nie tyle kobieta, co obiekt pożądania, fałszywą obietnicą szczęścia (przy pierwszym spotkaniu sprzedała mu podrabianą torebkę), postacią jednowymiarową, w pewnym sensie fantazją Kemala, ale i Orhana Pamuka, który pojawia się książce i nawet tańczy z Füsün.

Pamuk w biograficznym „Stambule” opisuje podobną postać. Gdy jeszcze jako początkujący malarz kwateruje w mieszkaniu matki

w Stambule, pozuje mu tajemnicza dziewczyna, która po latach dla dorastającego pisarza staje się symbolem utraconej młodości, utraconego Stambułu, w którym według Pamuka „szczęście jest zawsze sprawą przeszłości”.

Füsün pewnego dnia znika z życia Kemala. Bohater odnajduje ją dopiero po roku, ale ona jest już inną osobą. Aby ratować honor, wyszła za mąż za zwalistego kolegę z sąsiedztwa, zajęła się domem, dużo milczała. Na kolejnych stronach Pamuk rozwodzi się nad rozterkami Kemala, który neurotycznie przeżywa utracone życie z Füsün. W cieniu natomiast rozgrywa się dramat dziewczyny, która chciała być Ingą z reklamy, a trafiła do więzienia, między cztery ściany własnego domu. Dzieli go z człowiekiem, którego nie kocha. W końcu popełnia samobójstwo.

Karenina ze Stambułu

Pamuk, zapytany kiedyś o ulubioną powieść, bez zastanowienia odpowiedział: „Anna Karenina” Lwa Tolstoja. I trudno się oprzeć wrażeniu, że Füsün z „Muzeum niewinności” to taka turecka Karenina. Obie książki opowiadają o kobietach, które zbuntowały się prze-

ciwko zasadom społecznym – Anna zakochała się we Wrońskim i porzuciła dla niego męża; Füsün decyduje się na pozamałżeński seks z mężczyzną, który w dodatku jest zaręczony. Obie w końcu ponoszą karę – Anna wpada poza społeczny nawias, a Füsün zostaje w ten nawias z powrotem wepchnięta. Obie w końcu wybierają podobną śmierć. Karenina skacze pod pociąg, a Füsün rozbija się samochodem o drzewo. Ponoszą śmierć z rąk bezdusznej maszyny społecznej.

Tolstoj i Pamuk są kronikarzami wielkich projektów modernizacyjnych w swoich krajach. Rosja drugiej połowy XIX w. i Turcja ostatnich 40 lat przechodziły tę samą drogę – pracę na Zachód elity gdzieś po drodze pogubiły „zacofane masy”. Rachunek za to zerwanie tureckiego społeczeństwa płacą głównie kobiety. I te z zaśnieżonego, prowincjonalnego Karsu, i te „oświecone”, z migoczącymi neonami Stambułu.

Wszecchobecny w Turcji cytat z Atatürka: „Szczęśliwy ten, kto może nazywać się Turkiem” dzięki książkom Orhana Pamuka mógłby zyskać swoją żeńską wersję – „Nieszczęśliwa ta, która może nazywać się Turczynką”. ●

W Turcji z nowoczesności korzystają głównie mężczyźni. Płacą za nią niemal wyłącznie kobiety



Sny o nadludzkiej potędze



Monumentalne dzieło geniusza czy bełkotliwy monolog megalomana?

Tak jak „Drzewo życia” Malicka wygrało ubiegłoroczne Cannes tylko dlatego, że na czele jury stał Robert De Niro, tak „Faust” zawdzięcza weneckie Złote Lwy faktowi, że jurorom przewodniczył Daren Arono-

fsky. Cóż – sam robi kino mocno ekscentryczne i takie też nagradza. O swobodnej ekranizacji poematu Goethego dokonanej przez Aleksandra Sokurowa powiedział, że to „taki film, który po jednym obejrzeniu odmienia człowieka na zawsze”. Mnie jakoś nie odmienił. Owszem, zachwylił wizualną koncepcją wywiedzioną z niemieckiego ekspresjonizmu i artystyczną spójnością. Ale zarazem zmęczył niczym senny koszmar, który

natrętnie śni się człowiekowi, nie wiadomo po co. Tym obrazem Sokurow zamyka filmową tetralogię, której bohaterami uczynił wielkich dyktatorów: Hitlera w „Molochu”, Lenina w „Cielcu” i Hirohito w „Słońcu”. Odzierał ich z boskości, z grozy i pokazywał ludzką małość w seriach manierycznie wystylizowanych ekspresjonistycznych obrazów. „Faust” jest stylistycznie podobny. Kadry utrzymane w odcieniach szarości, zgnitej zieleni i orwowskiej żółci wywołują przytłaczające uczucie brudu. Niemal czuć zapach stęchlizny w groteskowo zdehumanizowanym, ostentacyjnie umownym świecie niemieckiego miasteczka z XIX w. To tutaj miejscowy lekarz – doktor Faust – przeprowadza sekcję zwłok. Zastanawia się, w którym z organów mieści się ludzka dusza. Pyta o to warzyszącego mu odrażającego lichwiarza. Ale ten ma swój szatański plan. Popycha Fausta do zbrodni i zmusza do podpisania cyrografu, w którym rezygnuje on z duszy w zamian za miłość Małgorzaty. Jej pojawienie się rozświetla ekran. Jednak tylko na chwilę. Później Sokurow odchodzi od Goethego. Coraz dalej i dalej. W stronę dość hermetycznych autorskich monologów, dziwnych symboli i złożo-

nych metafor odstawiających brzydotę świata oraz podłą marność ludzkiej kondycji. I tak aż do meandrycznego finału rozegranego w pejzażu islandzkich gejzerów. Nie wiadomo, czy Faust może zostać zbawiony, czy może wyzwolenie się od szatana prowadzi go ku nadczłowieczeństwu. Bo Sokurow wciąż śni o potędze. Niby obnaża swych żyjących utopiami o „nowej ludzkości” bohaterów. Ale w gruncie rzeczy wciąż zdaje się sugerować, że by spełnić ideę nadczłowieczeństwa, Faust musi stać się Hitlerem, Leninem albo Hirohito. Zrównać się z Bogiem, wzniesić się ponad doczesność pokazywaną konsekwentnie jako obrzydliwe piekło, po którym miota się bez ładu i składu odrażające ludzkie robactwo. Ale może zwyczajnie przesłanie Sokurowa zrozumiałem opatrnie i dlatego ten film mnie nie zmienił. I dlatego na postawione na początku pytanie odpowiedzieć jednoznacznie nie potrafię. **WOJTEK KALUŻYŃSKI**

„Faust”, reż. Aleksander Sokurov, Niemcy, Rosja 2011, 134', Aurora Films, premiera 24 lutego

Czechow w noir

„Pewnego razu w Anatolii” to fascynująca filmowa hybryda o współczesnej Turcji

Głęboka turecka prowincja: bezkresny step, rozsiane po nim osady, jedno miasto. W trakcie alkoholowej libacji w jednej ze wsi został zamordowany mężczyzna. Widzowie od początku znają sprawców – od pierwszych minut są oni w rękach stróżów prawa. W noc mordu byli jednak tak pijani, że nie pamiętają, gdzie ukryli ciało swojej ofiary. Grupa policjantów, prokurator i lekarz mający wykonać autopsję przeszukują okoliczne pola – bez zwłok nie mogą formalnie zamknąć sprawy. Cała sytuacja jest surrealistyczna i absurdalna: sprawcy ciągle zmieniają zeznania, śledczy są zmęczeni i chcą wracać do domu, kolejne tropy okazują się prowadzić donikąd. W końcu ciało się znajduje, sprawa

zostaje rozwiązana, ale w żaden sposób nie przynosi to widzom i bohaterom ulgi. Filmowi Nuriiego Bilge'a Ceylana gatunkowo najbliższe do odnawianej w kinie amerykańskim od lat 90. konwencji noir. Podejmującej estetykę i mroczną wizję świata klasycznego czarnego kryminału, ale traktującej o współczesnej rzeczywistości. Wolnej od cenzuralnych ograniczeń, jakim podlegał „Sokół maltański” czy „Wielki sen”. Śledztwo przede wszystkim od-

krywa kłamstwo, brud i przemoc ukryte pod fasadą porządku społecznego. Odkrycie, kto zabił, wskazanie sprawcy nie przynosi, jak w klasycznym kryminale, oczyszczenia, nie przywraca naruszonej równowagi i sprawiedliwości, niczego nie zmienia w ogólnym rachunku win. Gatunkowe motywy nowego kina czarnego łączą się tu z charakterystycznym dla Ceylana powolnym, medytacyjnym stylem, kojarzącym się z wielkimi mistrzami europejskiego kina autorskiego (Antonioni, Tarkowski). Akcja toczy się niespiesznie (film trwa ponad 2,5 godziny), nie ma w niej gwałtownych zwrotów, jej

rozwoj odlewają z pozoru nieistotne sceny, długie dialogi i monologi bohaterów. Prowadzący śledztwo przypominają rosyjskich inteligentów z końca XIX w., tocących przy herbatce z samowaru, wódce i konfiturach rozmowy o sensie życia. To skojarzenie nie jest przypadkowe – Ceylan pisząc dialogi, korzystał z utworów autora „Mewy”. „Pewnego razu w Anatolii” to zatem ciekawa hybryda. Gatunkowy schemat wzięty z amerykańskiego kina połączony z europejską estetyką i rosyjską literaturą dał fascynujący portret współczesnej tureckiej prowincji (z jej większymi i mniejszymi układowymi władzami oraz interesami). Nie jest to kino łatwe – trzeba czasu i cierpliwości widza, by poczuć jego rytm, wejść w tworzony przez nie świat. Ale warto podjąć ten wysiłek. **JAKUB MAJMUREK**

„Pewnego razu w Anatolii”, reż. Nuri Bilge Ceylan, Turcja, Bośnia i Hercegowina 2011, 150', stowarzyszenie Nowe Horyzonty, premiera 9 marca



Jak oni remiksują!...
...czyli gwiazda Ninja Tune przerobiona idealnie

Simon Green alias Bonobo długo zabiegał o awans do pierwszej ligi producentów klimatycznej elektroniki inspirowanej jazzem i hip-hopem oraz otwartej na to, co najciekawsze na scenie nowych brzmień. Udało się w 2010 r. za sprawą kapitalnego albumu „Black Sands”. Minęły dwa lata i oto z owym przelotowym dla kariery Greena materiałem mierzą się inni mniej lub bardziej znani elektronicy. Wśród nich są i utytułowany weteran Mark Pritchard i czółowka rozchwytywanych młodych zdolnych, na czele z Floating Points, FaltyDL czy Machinedrum. To coś więcej niż tylko zwykła kolekcja remiksów, która fanom Bonobo skrócić ma oczekiwanie na jego kolejną autorską płytę. Sposób, w jaki ułożono ten zestaw, a przede wszystkim, jak wysokim poziomem charakteryzują się jego poszczególne elementy, każe traktować „Black Sands Remixed” jako rzecz w dyskopli Greena wcale nie mniej interesującą i ważną od oryginalnego, wyjściowego materiału. Co remiks, to klejnot nowej elektroniki, tak zresztą jak i uzupełniające je dwie nowe kompozycje Bonobo.

BARTEK WINCZEWSKI
Bonobo „Black Sands Remixed”, Ninja Tune



Gdzie te refreny?

The Ting Tings próbowali drugi raz trafić szóstkę. Trafili ledwie trójkę



Płyta już była gotowa, już miała mieć premierę. Aż nagle artyści stwierdzili, że nie są z niej zadowoleni. Kasują więc to, co nagrali, i zaczynają pracę od początku. Znać tę starą jak sam przymysł muzyczny bajkę? Do licznego grona jej opowiadaczy dołączyli właśnie Brytyjczycy z The Ting Tings. Następczyni ich superprzebojowego debiutu „We Started Nothing” z 2008 r. oczekiwano dwa lata temu. Ale wtedy wokalistka Katie White i dowodzący muzycznie duetem perkusista Jules de Martino postanowili, że Hiszpania lepiej przysłuży się ich piosenkom niż

Niemcy. I tam też zaszyli się na długie miesiące, wcześniej niszcząc gotowe do wydania berlińskie taśmy. Taki jest oficjalny powód opóźnienia powrotu The Ting Tings na rynek. Bo przecież nie przyznają się, że dopadł ich tzw. kompleks drugiej płyty. A dopadł ich ewidentnie, co na „Sounds from Nowheresville” słychać aż nadto wyraźnie. Szczęście w nieszczęściu, że chociaż nie udają, że są kimś więcej niż dostawcami zadziornego, lobuzerskiego popu. Przecież nie za oryginalne pomysły, wyszukane aranżacje i instrumentalną wirtuozerię pokochaliśmy ich przed czterema laty, ale właśnie za proste i chwytli-

we piosenki przyjazne tak radiu, jak i festiwalowemu scenom. Takie próbowali nagrać i tym razem. Na próżno jednak szukać tutaj takich perełek współczesnego popu jak „Shut Up and Let Me Go” czy „That's Not My Name”. Patenty ni by te same, a przebojów, niestety, brak. **BARTEK WINCZEWSKI**



*** The Ting Tings „Sounds from Nowheresville”, Columbia

Melodia i niezłe szaleństwo

Młoda ekipa ze stolicy - Jazzpospolita - wydaje drugi album

Wojtek Mazolewski Quintet, Contemporary Noise Sextet, Mikro-kolektyw, Profesjonalizm, Baaba, Levity, Trifonidis Orchestra... Długo można wymieniać zespoły, które nieprędko zostaną oficjalnie uznane przez Polskie Stowarzyszenie Jazzowe za „wystarczająco jazzowe”. A szkoda, bo to one od kilku lat stanowią o sile polskiej muzyki synkopowanej. Do tej grupy doszurowuje Jazzpospolita, zespół który bardziej niż przydługie solówki na saksofonie i swingującą do znużenia sekcję ceni sobie brzmienia syntezatorów, rockowej gitary i dynamicznie zmieniające się podziały rytmiczne.

**** Jazzpospolita, „Impulse”, Ampersand



**** Jazzpospolita, „Impulse”, Ampersand

Internetowy zawrót głowy

Przegapiliście ostatnich kilka lat w elektronice? Nie martwcie się. Duet Mouse on Mars pomoże wam nadrobić zaległości w 45-minutowej pigułce

Gdyby Jan St. Werner i Andi Tomma zajęli się w latach 90. pisaniem o muzyce, zrobiliby poważną karierę naukową. Na szczęście kupili sobie komputery, syntezatory i automaty perkusyjne. Z ich wiedzy skorzystali więc zarówno artyści sceny postrockowej, jak i publiczność klubowa. Dziś Mouse on Mars dorównali już stażem grupie Kraftwerk, której kreatywności wystarczyło na 20 lat. Nadal lubią myszkujeć w modnych ga-

tunkach muzycznych oraz polować na nowy hardware i software. Album „Parastrophics” przypomina remiks wszystkiego ze wszystkim, co można znaleźć w Internecie – ciężkie dubstepowe basy, potmane breakbeaty, brudne brzmienia electro, tandetne melodyjki i ośmio-bitowe, plażowe klimaty chillwave i lekkie rytmy r'n'b. Nawet teksty wzięte są z Wikipedii i Facebooka, a wokale przesterowane na iPhone. Przy takiej muzyce można pogłównać albo dostać zawrót głowy. **JAS**



**** Mouse on Mars, „Parastrophics”, Monkeytown

Orwell ma zawsze rację

„Brak tchu” – kompletnie w Polsce ignorowana książka George’a Orwella – to znakomita opowieść doskonale obnażająca establishment, korporacje i armię



Jest rok 1938, Orwell wrócił z Hiszpanii, gdzie walczył w szeregach P.O.U.M. – trockistowskiej organizacji, po stronie republikanów. Wylądował w sanatorium w hrabstwie Kent, potem zaś z żoną pojechał do Maroka – ze względu na klimat, ale i dlatego, że pracowało tam wielu brytyjskich lekarzy. Klimat okazał się jednak zdradliwy.

W takich okolicznościach Orwell, który nie napisał jeszcze ani „Folwarku zwierzęcego” (1945), ani „Roku 1984” (1949), ale miał już na swoim koncie rewelacyjną „Wiwat Aspidistra” (1936), zabrał się za szkicowanie nowej książki. Rok później wracał do Anglii z gotowym rękopisem powieści, której bohaterem został niejaki George Bowling – facet w średnim wieku, mieszkający z rodziną w domu na przedmieściu.

Ten byłby wojskowy, a dziś komwojażer ma już dość dotychczasowego życia. Żona – straszna, dzieci – hałaśliwe, sąsiedzi – beznadziejni, praca – jałowa. I przeprowadza rozliczenie nie tylko własnej egzystencji, ale i społeczeństwa brytyjskiego. Wraca do dzieciństwa, I wojny światowej, w której brał udział. Co widzi? Upadek i brak ciągłości. On, potomek walecznych Brytyjczyków, najpotężniejszego narodu na świecie, mówi do siebie: „Wszyscy płyniemy

na tonącym okręcie, lecz nikt prócz mnie o tym nie wie”. Ludzie zarabiają pieniądze, nie wiedząc, że powinni zarabiać więcej, mieszkają w domach, które nie należą do nich, pracują w korporacjach, które oszukują na wszystkim, jedzą frankfurterki, które zamiast mięsa mają w środku rybny farsz. Na dodatek w powietrzu wisi wojna. Stocznie Europy nitują pancerniki, armie zbroją się na potęgę. A co robią brytyjskie media? Fascynują się zbrodniami. Gdzieś znalezione odrąbane nogi kobiety, gdzieś kogoś uduszono...

Kiedy bohater wraca w rodzinne strony, widzi, że nie ma już sielskiego miejsca. Wszędzie komin, fabryki, pośpiech. I wtedy zaczyna sobie przypominać łowienie ryb. To była – jak wyznaje – najprzyjemniejsza czynność jego życia. Bo, owszem, kobietami się interesował, piwo lubił, ale siedzenie z wędką nad brzegiem rzeki to była największa pasja jego życia. Jak zresztą samego Orwella.

Właśnie łowienie ryb i miniona przejrystość rzek jest w „Braku tchu” symbolem tego, do czego tęsknimy, a co nie będzie nam dane. Nigdy państwo ani korporacja nie będą przyjazne, a stosunki między ludźmi udane. Nigdy to, co jest teraz, nie będzie tak dobre jak to, co minęło.

„Brak tchu” to lekko napisana opowieść o braku przejrystości – nawet w rodzinie. Kiedy George znika na kilka dni, mówiąc, że jedzie na konferencję, żona mu nie wierzy i zaczyna go śledzić, choć nigdy jej nie zdradził. Jego firma też mu nie ufa, państwo nie dba o swoich obywateli, komuniści nie wierzą konserwatystom, a wszyscy każą George’owi w coś wierzyć, kiedy ten chce być na uboczu.

Wie, że za chwilę wybuchnie apokalipsa i runie cały porządek świata. Ma świadomość, że są to ostatnie chwile wielkiej Anglii. A on – doświadczony już jedną wojną – nie chce znowu walczyć. Na spotkaniu Klubu Książki Lewicowej wypala w twarz trockistę: „Moja krew wykipiała w 1916 – i ciebie też to czeka, kolego, gdy zobaczysz, jak pięknie pachną okopy”. Wszystkie te słowa brzmią aktualnie do dziś. Tak jakby Orwell pisał nie tylko o Anglii, ale i o nas. Czytajmy go uważnie.

PIOTR KĘPIŃSKI



George Orwell,
„Brak tchu”,
Bellona, Warszawa
2012, s. 320, 33 zł

Rozwiązła

Debiutancka, dojrzała powieść o naszym pokrętnym stosunku do równie pokrętnych dziejów

lonym z Holocaustu. Pochodzenie zaważyło oczywiście także na jej dalszych losach odzwierciedlających powojenne dzieje większości polskich Żydów.

Wielkie znaczenie dla zrozumienia tej opowieści i postawy bohaterki ma jej wiek. Zofia należy do pokolenia, które wchodziło w dorosłość w epoce politycznego przełomu. Z jednego ustroju zostało błyskawicznie przerwane do drugiego, nie mając specjalnie czasu na myślenie o tym, co za sobą zostawia.

Moment na refleksję przychodzi dopiero 20 lat później, kiedy do głosu dochodzi kryzys wieku średniego, a wraz z nim konieczność przededefiniowania siebie. Jarosław Kamiński wybierając na bohaterkę opowieści o tym procesie kobietę, odchodzi od sztamowego marudzenia o smudze cienia.

Od powikłanych losów matki i córki nie sposób się oderwać, zwłaszcza kiedy coraz bardziej oczywiste staje się – dla niej i dla czytelników – duchowe oraz cha-

rakterologiczne powinowactwo z Chają.

Warto skonfrontować stanowisko Kamińskiego wobec historii z własnym podejściem do niej. Choćby dlatego, że pisarz na pewno nie jest zwolennikiem rozdrapywania ran, ale też w żadnym razie nie opowiada się za całkowitą amnezją. Mówi wyraźnie: taka lustracja nie powinna wynikać z zewnętrznego przymusu, lecz z wewnętrznej potrzeby, by w pełni zrozumieć samego siebie.

MARTA MIZURO



Jarosław Kamiński,
„Rozwiązła”, W.A.B.,
Warszawa 2012,
s. 540, cena 49,90 zł

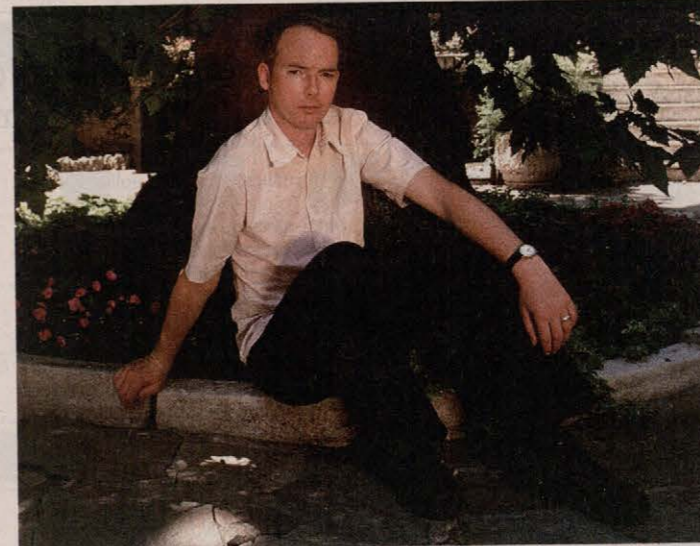
I wszyscyśmy już martwi...

... czyli trochę inaczej o tym samym w ładnej powieści Jona McGregora

Niezidentyfikowane miasto na angielskiej prowincji i kilkorob bezdomnych ćpunów, którzy od czasu do czasu znajdują lokum w zapuszczonym mieszkaniu alkoholika, niejakiego Roberta. Znamy? Znamy, a jakże. Tyleśmy historii o wyrzutkach i narkomanach przeczytali, że po diabła nam ten Jon McGregor ze swoją?

Otóż może się przydać, by zobaczyć, że z kompletnie przemiedlonego tematu można jeszcze wycisnąć to i owo – z pożytkiem dla czytelnika (i własnej kariery: „Nawet psy” z 2010 r. to trzecia powieść trzydziestoparoletniego pisarza, który uchodzi za „nową nadzieję brytyjskiej prozy” etc.). Ładność i „inność” McGregora po trosze biorą się z językowego konceptu, ale głównie z prostego, acz nieoczekiwane skutecznego zamysłu konstrukcyjnego. Po kolei zatem.

Autor nie proponuje nam rac wiśielczego humoru (który tak ładnie pobrzmiwa w opisach piekieł przedstawianego świata) i popisowego slangu, bo po Irvinie Welshu i jego „Trainspotting” bodaj niewiele można w ten sposób wskórać. Przeciwnie. Składniowe odkształcenie (tak to wygląda w każdym razie w przekładzie, a tłumaczenie Jolanty Kozak jak zwykle budzi szacunek) pierwszego zdania książki – „Drewno wyważyli, jest koniec grudnia, i wynoszą ciało” – które ponawiane jest przez jakiś czas, a potem prawie wygasa, raczej uwzniośla tę opowieść i dodaje jej dziwnej powagi. Pomysł drugi, bardziej konse-



kwentnie realizowany, ale też bardziej chyba irytujący, polega na tym, by wiele z cząstek opowieści przerywać w pół zdania i nagle przechodzić do kolejnego fragmentu mozaikowej narracji.

O czym się tu opowiada? „Wynoszone ciało” to zwłoki Roberta transportowane do kostnicy. Narratorskie „my” (będące zarazem zbiorowym głosem grupki jego popapranych znajomych i żadnego z nich) na przemian relacjonuje wszelkie policyjne, medyczne i administracyjne procedury następujące po odnalezieniu trupa. Rekonstruuje też jego nieszczone życie, a przy okazji

zrozumiane, biada na przykład nad rutyną postępowania ze zmarłym Robertem, rojąc sobie, że „jednego z nas” żegna i grzebie jak – wśród innych pomysłów – poległego w boju wikinga. Z całym stosownym i głęboko przeżywanym ceremoniałem. Wiemy przecież jednak, że Robert poległ w boju z wińskiem i gorzałą. Ze spontaniczne bytowanie bohaterów jest równie zastandaryzowane jak świat „normalistów” (jak powtarza jedna z postaci, trzeba być świetnie zorganizowanym, by regularnie załatwiać towar). I że życie, jakie nam tu dano, jest paradoksalnie właśnie po stronie zwykłych obywateli, jakkolwiek byłoby nudne i przewidywalne. Po drugiej stronie są tylko ekstatyczne chwile chemicznego odlotu, ból, znoś i śmierć.

Wszyscy właściwie są już martwi, choć niektórzy w finale książki, po rozprawie u koronera, koniecznej, by śmierć Roberta odnotować w stosownych papierach, ruszają, by zrobić to, co zwykle. „Proszę wstać, sąd idzie. Wstajemy. Co innego mamy zrobić, wstajemy kurwa”. No i tak to jest.

MARCIN SENDECKI



Jon McGregor,
„Nawet psy”,
przeł. Jolanta Kozak,
Czytelnik, Warszawa
2012, s. 296, 33 zł

REKLAMA

Fundacja Warszawskie Hospicjum dla Dzieci opiekuje się nieuleczalnie chorymi dziećmi w ich własnych domach. Hospicjum istnieje dzięki wsparciu ludzi, którym bliski jest los ciężko chorych dzieci. Przekaż 1% podatku dzieciom z Warszawskiego Hospicjum dla Dzieci.

KRS: 0000097123

Fundacja
Warszawskie
Hospicjum dla Dzieci

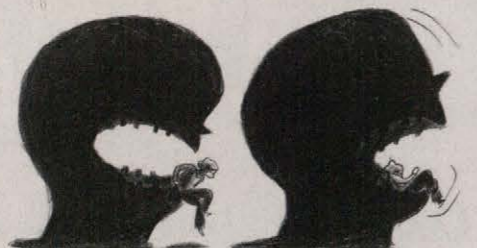
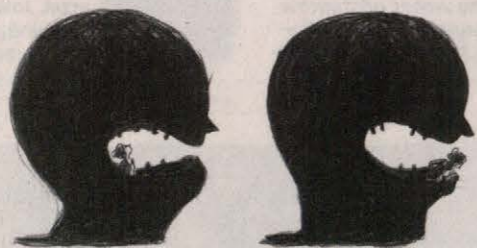
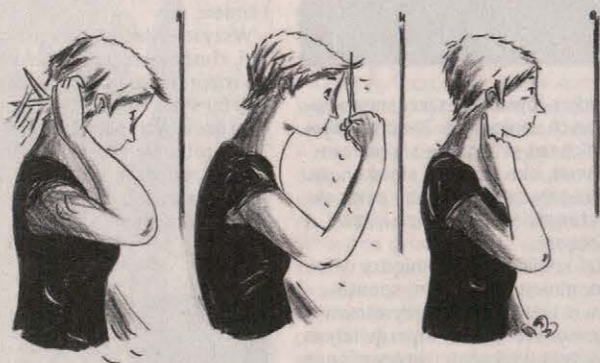
Twój 1% - mój powrót do domu

www.hospicjum.waw.pl

Choroba wzięta w nawias



Opuszcłam dom rodzimy. Miałam wtedy może 25 lat. Decyzja o wyfnuczeniu z gwiazda nie była łatwa.



„Parenteza” to doskonały komiks o pogrążaniu się i wychodzeniu z choroby. I o pamięci, która pruje się w strzępy

Gruźlica, rak, AIDS, epilepsja... To nie są przyjemne tematy. Może dlatego świat sztuki nieustannie poszerzając obszary dyskusji o kwestiach granicznych sięga po nie często.

Christoph Schlingensiefel zmarł 21 sierpnia 2010 r. Całe kulturalne Niemcy wiedziały, że odchodzi. Odkąd zdiagnozowano u niego raka płuc, uczynił z umierania temat i materię swojej sztuki. Derek Jarman swój ostatni film „Blue” zredukował do niebieskiej planszy i wygłoszenia intymnego dziennika człowieka, który ślepnie i zdaje sobie sprawę, że wkrótce umrze. Ostatnim kolorem, który widział reżyser, był właśnie niebieski. Katarzyna Kozyra zaprosiła widzów na wideo ze swojej sesji chemioterapii.

Wszystkim tym przedsięwzięciom towarzyszył albo patos odchodzenia, albo skrajny realizm walki o życie. Wspólna była intencja upamięnienia się o obecność chorych jako wykluczonych ze współczesnego społeczeństwa. Przywrócenie myślenia o śmierci w świecie nieustającej zabawy. Otwarty autobiografizm takich przedsięwzięć wcale nie osłabiał ich zaangażowanego wymiaru.

Tematy te podejmowane w konwencji komiksu, zapewniającego inny sposób obrazowania, nie tracą nic ze swej dramatyczności, a zyskują wymiar intymności. Tak, jakby forma rysunku w rękach utalentowanego artysty rozbrajała tragizm, nieuchronny realizm uzupełniała o sferę fantazji. Pamiętacie niezrównane „Niebieskie pigułki”, autobiograficzną historię związku młodego mężczyzny z kobietą zarażoną HIV, której synek również jest nosicielem wirusa?

„Parenteza” to również autobiograficzna historia 20-letniej dziewczyny, która zaczyna chorować na epilepsję. Badania wykazują, że jej źródłem jest guz mózgu, nowotwór o nazwie astrocytoma. Paradoxy polega na tym, że ataki powodują częściową utratę pamięci. Judith o tym, że jest chora, dowiadyuje się od lekarza i bliskich.

Elodie Durand traktuje swoje ciało jako pole walki, obiekt ataku raka. Jediną terapią może więc być kontratak. Wstrząsający w „Parentezie” jest ten moment niejednoznaczności, kiedy nie wiadomo, co bardziej rujnuje jej ciało: choroba czy kuracją. Ataki epilepsji (w najgorszym czasie co dwie godziny) wycieńczają bohaterkę do granic wytrzymałości, lecz kiedy przychodzi do leczenia, wydaje się, że jest jeszcze gorzej. Terapia kortyzonem oznacza niekontrolowane tycie, utratę równowagi, ograniczone pole widzenia na boki, błyski w głębi oka... Poruszająca jest scena, kiedy bohaterka idzie z wizytą do siostry, która właśnie urodziła córkę, i nie może zapamiętać jej imienia. „A przecież Emma to nie takie trudne...”

Elodie Durand przedstawia siebie niemal schematycznie: małe, nieobecne oczy, na twarzy wrażenie zagubienia i obcości. Czarno-biała kreska Francuzki oddaje tylko to, co jest potrzebne do opowiedzenia szczegółu – stąd tyle w jej rysunkach bieli, pustki, powietrza.

Ale oryginalność i komiksowa poezja Durand ujawniają się, kiedy prozę choroby przelamuje wspólnymi wizualnymi metaforami: gigantyczna głowa mumii pożerająca małą postać jako dominacja choroby nad bohaterką, olbrzymie zbliżenie mózgu bohaterki, po którym spacerują miniaturowi lekarze w poszukiwaniu guza, wypełniona czernią strona z rozrzuconymi niewielkimi napisami: „Gdzie ja jestem? Która godzina? Tu, gdzie jestem... Nic nie widzę. Nic nie czuję. Nie mogę mówić. Nic nie słyszę... Nie ma mnie”.



Elodie Durand, „Parenteza”, wyd. Post, Kraków 2012, s. 222, 52 zł

Litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą wyraz rozwiązujące.

PRZYGOTOWUJE:
ZESPÓŁ KALIBER 45

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28	29	30	31	32	33	34	35	36	37	38	39	40	41	42	43	44	45	46	47	48	49	50	51	52	53	54	55	56	57	58	59	60	61	62	63	64	65	66	67	68	69	70	71	72	73	74	75	76	77	78	79	80	81	82	83	84	85	86	87	88	89	90	91	92	93	94	95	96	97	98	99	100
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	-----

CO ZROBIĆ, ABY NASZA PARTIA STAŁA SIĘ PARTIĄ INTELIGENCKĄ?

MUSICIE WYMIENIĆ CAŁE KIEROWNICTWO I WSZYŚCIEM GŁOŃKÓM ZMIENIĆ POGLĄDY, PROGRAM I NAZWĘ.

POZIOMO:

- 1. ROZMOWY W ROZKROKU
- 6. PELEN SZACUNEK
- 8. CZASEM TRACI WĄTEK
- 9. WIEŚ POLSKA XIV W.
- 10. TYPOWA KOWALSKA
- 11. WIERUSOWA CHOROBA MORSKA
- 14. BEZKARNY KARATEKA
- 15. SEKSKRETNE POMIESZCZENIE
- 18. ŚRODOWOŚĆ ITD.
- 19. DROGI OBRAZEK
- 21. MIĘDZY RAKIEM A KOZIOROŃCEM
- 26. WYKAŃCZA POKÓJ
- 31. WIEJSKI KULTURYSTA
- 32. PRZECIEK W PROKURATURZE
- 33. DOBRA Z PUSZKI
- 34. CO PANI ROBI WIECZOREM
- 35. BO TO, CO NAS PODNIECA
- 36. SPODNIE ŻEGLARZA NA „S”

PIONOWO:

- 1. CHRZĄSZCZ BRZMI W TRZCINIE PO LACINIE
- 2. PRZY NADZIEI
- 3. KOSTKA PRZY BRUKU
- 4. DEMOLUD
- 5. UBRANIE DO SPANIA
- 6. U STÓP NOSA
- 7. TANIO SKÓRY NIE SPRZEDA
- 12. SŁAWA PRZYBYLSKIEJ
- 13. NA MIARĘ NAŁOGU
- 15. POGOTOWIE W POGOTOWIU
- 16. MASZ NA NIE WPŁYW
- 17. SZCZURY DO GÓRY
- 19. MIĘDZY NAMI CHŁOPAMI
- 20. DUŻO PANIENEK NA CHACIE
- 22. ZWÓJ PRZEMYSŁOWY
- 23. SŁOWO NA NIEDZIELĘ (WIELKANOCNĄ)
- 24. JEŚLI WJEDZIESZ MIĘDZY WRONY
- 25. BIEGNIE PRZEZ SKRZYŻOWANIE I MA ROGI
- 27. ODERWANA OD PŁUGA
- 28. WRYWANIE SOBIE JAJA
- 29. KUPA GOŁĘBI
- 30. LATAJĄCY PTASZEK PREMIERA



Nagrodą w tym tygodniu jest książka Dariusza Oskroba „Dosięgnąć horyzontu, czyli motocykłem przez świat”, www.zysk.com.pl

Wygraj jedną z 10 książek. Rozwiąż krzyżówkę i prześlij do nas hasło. Wyślij sms o treści **PRZEKRÓJ.HASLO.KRZYZOWKI.na numer 7243**. Rozwiązania możesz także przysłać na kartce pocztowej (decyduje data stempla) na adres: Presspublica Sp. z o.o., ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa, z dopiskiem: „krzyżówka 10”. Na prawidłowe rozwiązanie czekamy do 11 marca 2012. Koszt sms-a: 2 zł netto/2,46 zł brutto.

LAUREACI Z NR. 7

Alicja Glowacz, Gdańsk; Andrzej Grabowski, Warszawa; Krzysztof Helewski, Dąbrowa Górnicza; Artur Kosicki, Wrocław; Janina Ozdowa, Płock; Magdalena Tarasiewicz, Warszawa; Maria Wasilewska, Kędzierzyn-Koźle; Jan Zaleski, Łódź; Barbara Zawadzka, Łódź; Karol Zieliński, Warszawa

ROZWIĄZANIE Z NR. 8

Krzyżówka: MANDARYNKA

POZIOMO:

- 1. TRZĘSIE CAŁYM MIASTEM – MAGISTRAT
- 7. GAD? – PYTON
- 8. STARA PAŁA – DWÓJA
- 9. POSPOLITE RUSZENIE – ZRYW
- 10. PRZESZEDŁ DO LEGENDY – BAJARZ
- 12. NAJWYŻSZE STANOWISKO – DEKARZ
- 14. Z ZAGRANICZ – WWÓZ
- 17. OPUSZCZA BAŃKI – MLEKO
- 18. NADGROBEK – LILIA
- 19. MA NA KAŻDEGO HAKA – SZATNIARZ

PIONOWO:

- 2. NIE MAJĄ STÓP – GETRY
- 3. BEZ NIEGO WSZYSTKO JEST BEZ SENSU – SENS
- 4. POTASUJ RODZAJ – RODZAJ
- 5. CZTERY MNIEJ – TRÓJA
- 6. SZMATY CZASU – STARZYNA
- 7. WIELKI U KRÓLA – PRZYDOMEK
- 11. ROŚNIE NA KRZYŻ – BRZOZA
- 13. KROPA NAD I – KLEKS
- 15. DOM NIEZŁY – WILLA
- 16. DOLA Z POLA – PŁON

EGZAMIN GIMNAZJALNY

Uzupełnij luki w wiedzy swojego gimnazjalisty

Multimedialny kurs i testy sprawdzające „Gimnazjum 2012” od A do Z przygotowują twoje dziecko do egzaminu gimnazjalnego.

Profil matematyczno-przyrodniczy

- w poniedziałek, 5 marca

Profil humanistyczny

- we wtorek, 6 marca

Profil angielski

- w środę, 7 marca

Wydania z płytami dostępne w punktach sprzedaży oraz dla prenumeratorów Pakietu Plus.



Z N O W O R O Z M A I T O S C I

RACZKOWSKI NA KOMIEC



NIE TAK: JAN KOZA



MYŚLNIK KRZYSZTOFA BILICZY

Stuchajmy muzyki, samim jeszcze zabrzmi i kiedy już wybrzmi.

Archiwalne numery „Przekroju” można (a nawet powinni) się przeczytać na www.przekroj.pl oraz w aplikacji „Przekroju” na iPadzie dostępnej w App Store

RETROSPEKCYJA



„Przekroju” z 9 MARCA 1992 R.



„Przekroju” z 1 MARCA 1992 R.



„Przekroju” z 7 MARCA 1992 R.



„Przekroju” z 1 MARCA 1992 R.

Spadkobiercy

poranny seans dla bezrobotnych

Występują: STRASZNY DZIAJUNIO na toż samierci, Jego obszarpani UBODZY KREWNI oraz okupująca tylnie rzędy PUBLICZNOŚĆ

STRASZNY DZIAJUNIO (chrapliwie): O, tyle dostaniecie! (nieuduznacznie pokazuje ilie) Precz z dziedziżeniem, pozycji społecznej i majątkowej! (rzęzi)

UBODZY KREWNI: (wpadają w histerie) PUBLICZNOŚĆ: (wuje z radością) STRASZNY DZIAJUNIO: (umiera szczęśliwy)

KURTNA - z powodu włośkie-go strajku słabo opłacanych pracowników technicznych - opada bardzo, bardzo powoli.

Gdybym był kobietą

LEWO MYŚLNIK



To raczej nie byłbym redaktorem naczelnym „Przekroju”, bo tę funkcję pełniła dotąd tylko jedna kobieta. Tym bardziej nie byłbym nim po raz drugi

Gdybym się upierał, wykonując ten sam zawód co teraz, że jestem redaktorką, słyszałbym od innych redaktorów, że one nie są żadnymi redaktorkami: tylko prawdziwymi redaktorami. To samo, gdybym był prawniczką, ekspertką, prezeską. A ze strony mojej aktualnej płci - techocik, rehot, wszechrehot, nadrehot.

Gdybym był kobietą, to nie na mnie by patrzono podczas dyskusji panelowej, tylko na wszystkich pozostałych panów, ponieważ ich miejsce jest naturalne (jak język bez zęskich form), ich głos poważny, uzasadniony i uprawomocniony. Gdybym miał jednak tzw. ładne nogi (czego nie mogę wykluczyć, patrząc na obecnej), to operator telewizyjny filmowałby mnie od pasa w dół, nawet kiedy mówię, tym bardziej kiedy milczę, czyli może myśle na przykład. Wtedy najład na tydko-uda.

Gdybym był kobietą, to nie wiem, kim bym był, ale raczej lepszą matką, niż jestem ojcem. Gdybym był kobietą, to częściej wykonywałbym polecenia, niż je wydawał. Gdybym był kobietą, to dużo rzadziej występowałbym w mediach, gdyż przed zaproszeniem zadawałbym za dużo pytań: o czym będziemy rozmawiać, czy aby na pewno jestem kompetentny, przygotowany, a może jednak kolega, szef byłby odpowiedniejszy.

Gdybym był kobietą, pracowałbym ciężżej za mniejsze pieniądze. Byłbym nieustannie obserwowany i zaczepiany, lekceważony i niezauważany wtedy, kiedy na poważanie zaskugiwałbym. W zamian za to jacyś nieapeetyczni koleśki śliniliby mi dłonie, otwierali drzwi do knajpy, żebym pierwszy poczuł albo jej zaduch, albo zapach pieniędzy, opędzalbym się od nieuduznacznych propozycji składanych z automatu, tu i tam, i wszędzie.

Dłatego cięszę się, że dzięki rozwojowi nauki już wkrótce każdy, każdy z nas, będzie życie spędzać w tych co najmniej dwóch placach naprzemiennie. Rok będziemy kobietą, rok mężczyzną. Kto sobie radzi jako mężczyzna - może na powrót nim zostać. Kara? Nie - szansa. Jedyna szansa na wyjście z impasu, dziwny. Na męską autorefleksję trudno stawiać. A z wami, chłopaki, szkoda gadać.



Nowe Audi A4

Kolejna odłona postępu

Siłę postępu można mierzyć różnymi sposobami. W nowym Audi A4 wyrażają ją parametry, które są wynikiem nieustannie wprowadzanych, innowacyjnych osiągnięć technicznych. Na przykład w Audi A4 z sześciocylindrowym silnikiem najnowszej generacji 3.0 TDI i skrzynią biegów multitronic emisja CO₂ wynosi zaledwie 129 g/km przy mocy 204 KM. Z kolei w Audi A4 z nową jednostką 1.8 TFSI redukcja zużycia paliwa w porównaniu z poprzednim modelem wyniosła aż 18%. To wyjątkowe osiągnięcia w dziedzinie konstruowania wydajnych i mocnych jednostek napędowych. Odwiedź jeden z salonów Audi i doświadczyć niespotykanej siły postępu.

W nowym Audi A4 3.0 TDI 150 kW (204 KM) multitronic zużycie paliwa wynosi w cyklu miejskim: 5,5 l/100 km, poza miastem: 4,6 l/100 km, w cyklu mieszanym: 4,9 l/100 km; emisja CO₂ w cyklu mieszanym: 129 g/km. W nowym Audi A4 1.8 TFSI 125 kW (170 KM) zużycie paliwa wynosi w cyklu miejskim: 7,4 l/100 km, poza miastem: 4,8 l/100 km, w cyklu mieszanym: 5,7 l/100 km; emisja CO₂ w cyklu mieszanym: 134 g/km.

Infolinia: 801 200 500*

*Opłata jak za 1 jednostkę połączenia lokalnego.

Przewaga dzięki technice

